

BLUSZCZ

Spółecano-Literacki Ilustrowany Tygodnik Północny

ROK LXII

WARSZAWA, DNIA 21 GRUDNIA 1929 ROKU

NR. 51

TREŚĆ NUMERU: Godzina pośród gwiazd — *M. H. Szpyrkówna*. Poezje: Trzy wigilje: „Biały dom“, „Papierowe gwiazdy“, „Modlitwa“ — *Lucyna Krzemieniecka*. Pasterka w Bochojnicy — *Ewa Szelburg-Zarembina*. Zawalidroga (c. d.) — powieść — *Herminja Naglerowa*. W starem zamczysku — *Zofja Reutt-Witkowska*. Wystawa „Rytmu“ i „Salon“ w Zachęcie — *I. j.* Książki nadesłane do Redakcji. Z książek — *S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu. Na marginesie świata — *Joanna Szopska*. Lalki — *Wanda Dobrzańska*. Legenda a rzeczywistość — *J. S.* Dwanaście wili — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Premje dla naszych czytelniczek. Dodatek „Nasza Mównica“. Dodatek „Mody i Roboty“. Na Zakopane — *Well*. Dodatek powieściowy: „Jezusowe cacka“ (dok.) — *Anna D. Hyle* i „Wieczór wigilijny z ogłoszenia“ — *Nana Zoe*.
Arkusz wzorów.



Cima, Giovanni Battista da Caneghiano — Madonna z Dzieciątkiem.

W dniu Wigilijnym przesyłamy wszystkim naszym Czytelniczkom tradycyjne życzenia gwiazdkowe. Oby gorejące drzewko stało się żywym symbolem duchowego rozwoju i zbożnej pracy zarówno w kręgu ogniska domowego, jak i na szerokiej niwie poczynań społecznych.

M. H. SZPYRKÓWNA

GODZINA POŚRÓD GWIAZD

Podobno istnieje w wilję taka chwila, kiedy wszystko się ucisza, i wtedy człowiek może pochwycić głos, zwykle milczący. Trzeba istotnie ciszy, ażeby dosłyszeć niedosłyszalne! I dzień wigilji, a ściślej — okres świąt Bożego Narodzenia — jest szczególnie stworzony potemu, aby dojść do wymiany zdań z tym rzadkim naszym rozmówcą, który się nazywa „Ja” przez wielkie J — z własną duszą.

Święta, w sensie dzisiejszym, źle oddają samą treść słowa. Wiążą się u nas z pojęciem próżnowania, wesela i jedzenia. Zapewne! Wszystkie te składniki są. Nie mamy powodu się smucić, wprost przeciwnie! ale pojęcie uroczystości byłoby chyba odpowiedniejsze.

Jest to przede wszystkim moment skupienia i rozważania, który pociąga za sobą nietyle może wesołość, co — pogodę i spokój. Jak każdy, kto w trudnej walce dojrzy nieomylnie, że jest nad nim jakaś opieka i pomoc, która nie da mu zginać, tak i człowiek w walce z kamieniami swojej codzienności, która go chce obalić i zasypać mu skrzydła gruzem, musi dojść po rozważeniu tajemnic wigilijnych do spokoju i ufności, bo niechybnie dojrzy, że jest nad nim opieka i że poto, aby te skrzydła były wolne, dwa tysiące lat wstecz wielkie i kosmicznego zasięgu tajemnice wstrząsnęły ziemią, zarówno w jej widzialnych, jak niewidzialnych płaszczyznach. I pamiątkę tych tajemnic — niejako ich coroczny jubileusz — ludzkość obchodzi odtąd wiernie i z przywiązaniem. Jednak życie naturalnie zamula pierwotne jej źródło, zastępując jedzeniem i zabawą zasilek wewnętrzny i pogodę, jaka z obrządków wigilijnych w serce ludzkości spływać musi.

Człowiek jest ustawicznie zalewany falami codzienności rzeczy koniecznych do życia i najrdziej doczesnych. Rzeczy nieprzemijalne i wieczne są przez to jakgdyby odsuwane na plan niepotrzebności — przestają być aktualne. A jednak, ta wieczność jest przed nami, a my jesteśmy zaledwie drobnym ułamkiem jej olbrzymich okresów, wcielonym na ziemi w kształt ludzki. Jesteśmy, jak antena, nastawiona na chwytanie głosów z nieba, a którą ulica napelnia pustym hałasem. A jednak pomyśleć o tej nieprzemijalnej naszej ciągłości trzeba — i trzeba jakoś się do niej ustosunkować, aby czasem nie stać zaskoczonym u bram wieczności z pytaniem,

jak ów roztargniony profesor, który przypadkiem wpadł do dołu z wapnem:

— Dobrze, ale poco właściwie tu przyszedłem?

Istotnie! Poco?

Jest to pytanie zasadnicze, które przynajmniej w kilku ważniejszych chwilach życia, w kilku wybitniejszych rocznicach zadać sobie należy. Celowość naszego rozwoju wewnętrznego w ogromnej mierze przyspieszy jego postęp. Drogę, którą ktoś, nieświadomiony jej zakrętów, odrobi w dzień czy tydzień — inny, znający jej końcowy punkt i przebieg, odrobi w przeciągu kilku godzin. Każde życie jest przecież jakąś drogą i ma dwa cele: jeden doczesny i widzialny: śmierć; drugi, doczesny również, ale niewidzialny — to rozwój. I dopiero zrozumienie tego nadaje celowość życiu. Dano nam odcinek czasu pomiędzy narodzinami, a śmiercią, i włożono w nasze ręce ewangeliczne pięć srebrników: włożono poto, abyśmy w tym odcinku czasu potrafili ten zasilek duchowy pomnożyć o tyle, ile mądrość wyższa przewidywała. Musimy przysporzyć wartości, które nam zostały zawierzone, nie umniejszyć ich, ani pozostawić bez zmian! Oto jest zadanie doczesnego rozwoju. Zadanie, znane nam z przypowieści ewangelicznej, która nie zostawia co do tego żadnych wątpliwości.

A teraz, rzuciwszy wzrokiem naprawdę bezstronnym na swoje życie, czy możemy powiedzieć, że tych talentów nie zakopaliśmy w ziemię, sądząc, że to jest najlepszy sposób ich przechowania? To znaczy: czy nie jesteśmy tylko bierni w dobrem, zadowalniając się już tem, że wyraźnie złego nie popieramy?

Jest to jedna z zasadniczych przeszkód człowieka w stosunku do jego własnego rozwoju. Popelniamy ten błąd najczęściej, bo jest najbardziej niedostrzegalny i podobny nawet do cnoty. Nie robię złego: a więc robię dobrze, a więc jestem w porządku wobec siebie, ludzi i Boga! Czyż nie tak myślimy często w chwili trudnego konfliktu, kiedy stajemy, na przykład, wobec alternatywy zabrania głosu w trudnej, drażliwej i kłopotliwej sprawie, zwłaszcza, o ile bezpośrednio naszych korzyści nie dotyczy, a szkodę nam przez zajęcie wrogiego stanowiska przynieść może? Jakże często wtedy mówimy:

— Może oczywiście on, czy ona, powinnyby postąpić inaczej, ale to właściwie nie moja sprawa. Poco mam sobie robić nieprzyjaciół?

Zapewne! Takt i formy towarzyskie nieraz stają w konflikcie z tem, co możnaby nazwać odwagą przekonań. Nie znaczy to bynajmniej, aby ze zdaniem swoim trzeba było wtrącać się do wszystkiego, co nam nie odpowiada — ale każdy ze swego życia dobrze zna przykłady kompromisów, jakie popełnia, i które, wbrew własnym perswazjom człowieka, pozostawiają w jego duszy mały, malutki posmacek niemiłego gatunku. Coś jednak w tem: — Byłem w porządku, — nie zgadza się z głosem wewnętrznym, który szepce: — Nie byłeś!... — Dlaczego? Bo bierne dobro jest nieraz podłożem dla zła, gdyż zło jest zawsze czynne. I kto go nie zwalcza, ten z konieczności ułatwia mu drogę.

Dzisiejsze życie w Polsce w sposób szczególnie wybitny, w sposób wręcz brutalny nastęrcza wciąż i na każdym kroku te konflikty. Opinia dziś prawie przestaje istnieć — umiera na niedokrwistość. Niema ludzi, którzyby potrafili naprawdę z cywilną odwagą i narażeniem się na przykrości zaznaczyć wyraźnie i niedwuznacznie swoją postawę wobec tej czy innej sprawy towarzyskiej, czy społecznej i zgłosić protest. Przyjmujemy ludzi, którym właściwie chętnie nie podalibyśmy ręki, tolerujemy sprawy, które właściwie kwalifikowałyby się do kryminału, gdyby istniały potemu dostateczne dowody prawne: na dowodach moralnych dziś sąd u nas już nie opiera nic. Popołniamy z własnym poziomem etycznym ustawiczny kompromis, zmuszając go, aby się obniżał i kurczył.

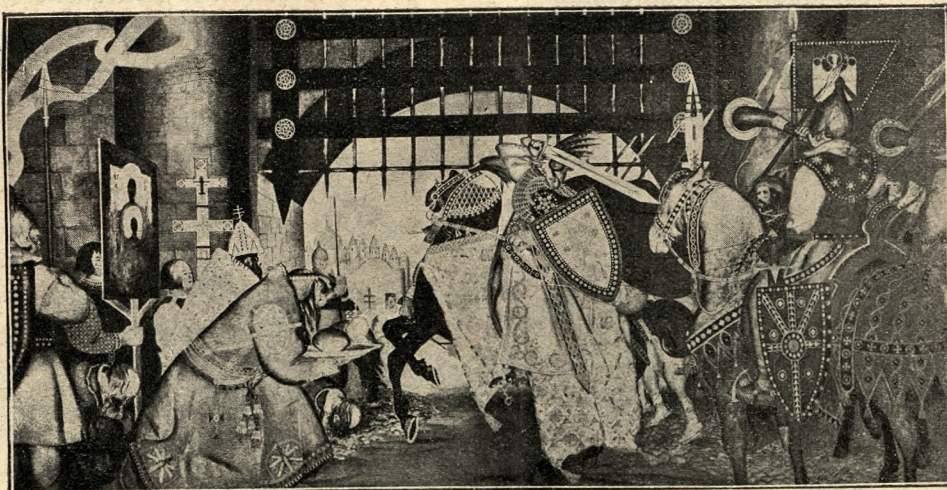
A przecież poczucie etyczne jest także pewnym darem, złożonym w nasze ręce poto, abyśmy je pod-

nieśli i wyszlachetnili własnym wysiłkiem w ciągu życia na ziemi! Nie poto, aby, przeciwnie, umniejszyć je do poziomu, który już kiedyś, o ile przyjąć zasadę reinkarnacji, zdobyliśmy, będąc mniej obdarowani, wysiłkiem poprzedniego istnienia! Obniżenie tego poziomu etycznego, dziś powszechnie dające się spostrzec, jest klęską moralną dla naszego jutra. Bierność w pomnażaniu dobra daje pole do zdobycia zła — i jakże się wytłumaczymy ze zmarnowanych talentów w chwili, kiedy otworzą się przed nami gwiazdne bramy wieczności, i niewidzialny głos spyta, jak w Starym Testamencie:

— Człowieku, cożes uczynił z darem moim?...

★

Każdy z nas na gwiazdkę dostaje i składa dary. Pomiędzy temi wieloma drobiażdżkami, przypomnijmy sobie w dniu wilji i jeden największy dar, jaki nam został złożony w ręce przez życie: zdolność rozwoju wewnętrznego. Dar udoskonalenia! W godziny przedwigilijnych zaciśzy, kiedy wszystko milknie, zwróćmy uważne spojrzenie na to, co mamy, i co z posiadaniem majątności duchowych robimy. Czy pomnażamy talenty, dane od Boga, czy je tylko biernie przechowujemy, czy też, wreszcie, zasypywani piaskami codziennych trosk, pozwalamy zamierać i umniejszać się tym, które mamy, a które dane nam były, ażeby się pomnożyły i rozkwitły. I obróćmy na krótką chwilę, w czasie uroczystej rocznicy świąt, oczy ku temu głębokiemu niebu, z którego co roku wigilijna gwiazda Betleemska przypomina ziemi o domu ostatnim, który nas czeka po najdłuższej pielgrzymce — i do którego każdy wejdzie z tem i jedynie tylko z tem, co sobie tu na ziemi zdołał zgromadzić na wieczność!



Kazimierz Sichulski: „Wjazd Bolesława Chrobrego do Kijowa”.

LUCYNA KRZEMIENIECKA.

TRZY WIGILJE

BIAŁY DOM

Dom był biały, błogi, nienazwany,
miał dzwoniące, wigilijne ściany.
Cień choinki był dziwem olbrzymim,
miał on „zapach“ i „światło“ na imię.
I nie było słów, tylko uśmiechy,
i nie było łez, tylko pociechy.
Zadzimienia, jak małe opłatki,
pokruszyły się w dłoniach matki.
W noc tę drzwi ktoś szeroko otworzył...
Toś Ty chyba przyszedł do mnie, Boże.

PAPIEROWE GWIAZDY

Gdy lat kilka przeminęło potem,
już mówiło się: gwiazdy są złote.
Wycinało się je przed świętem
z papieru — gwiazdki uśmiechnięte.
Lalka wtedy miała modre oczy
i tkliwie zapleciony markoczyk.

— — — — —
Tuliłam cię, lalko, śpiewałam,
bo już blisko krzywdy mieszkała.
Bo tam za oknami, dlaczego?
tak płakały wrony na śniegu.
Nikt nie przyszedł, nie poradził na to
wronom złym, rozplakany, kudlaty...
W tę wigilię już potrzebny był pacierz,
bo zdawało się, Boże, że płaczesz.

MODLITWA

Tyle gwiazd jest przecież nad nami,
czemu nie chcą być memi gwiazdami?
Tyle choin, drzew tyle w lesie,
może które mi ulgę przyniesie?
Pójdę leśnym pokłonić się drogom,
może one mi coś pomogą?
Tyle krmawych jarzębin, żórawin,
może serce przestanie krmawić?
Tyle na jałowcach koralu,
może żal mój się wreszcie przepali?
Uwiję z jemioli wianeczek,
położę w cichutki żłobeczek,
uklękne, i wtedy może
staniesz przy mnie — mój Boże.



EWA SZELBURG-ZAREMBINA.

PASTERKA W BOCHOTNICY

*...albowiem ich jest
Królestwo Niebieskie.*

Przyjechałam z dużego miasta do małego, cichego domu moich rodziców.

Dom był już wtedy pusty. Nikt nie wyszedł na moje spotkanie. Nawet nasz pies, poczciwy Ugryź, który nigdy nikogo nie ugryzł, żył już u jakichś obcych ludzi.

To była Wigilja Bożego Narodzenia. Rano, w cienkich, miejskich bucikach chodziłam po zasypanych śniegiem ścieżkach ogrodu, założonego przez mego ojca, i musiałam myśleć o tem, że ten ogród jest już ogrodem śmierci, że róże belgijskie, które on tutaj jesienią ubrał w chochoły ze słomy, już nigdy z pod tego śniegu nie zakwitną.

Wyszedłam potem przez bramkę, skrzypiącą, jak zawsze, na ciche, białe drogi, strzeżone przez młode kasztany i przez stare lipy.

To była Wigilja. Południe. Wille stały wystygłe i głuche. Z kominów chałup walił dym, tłusty od oleju.

Nie spotykałam nikogo prócz dzieci. Dorośli byli zajęci, a dzieci, opatulone w matczyne znoszone chusty, obute w matczyne trzewiki, wypchane wiechetkami słomy, albo w ojcowych wykrzywionych butach, snuły się, jak zimowe, czerwono-nose krasnaliki, od zasypanych śniegiem domów do umieczonego sklepiku. Coś tam dzwigały w zmarzniętych, posiekanych rękach, coś niosły w uszatyh koszykach, coś ciągnęły za sobą na płaskich saneczkach... Za niemi w czystym lodowem powietrzu zostawały smugi zapachu śledzi, pierników z krochmalem, słodkiego maku... Za niemi po niepokalanej bieli leciały ostre głosy matek, czerwonych od kuchennego ognia i od złości, i pogrozy podpitych już ojców...

Zmierzchno się. Ukazała się jedna blada bardzo gwiazda. Ta właśnie.

Nie wróciłam do pustego domu, w którym nikt nie napalił w piecach i nie zaścielił białym obrusem stołu. Zasiadłam do postniku w obcym mieszkaniu, przy obcym stole, wyścielonym sianem. I nawet przełamalam się oplatkiem z ludźmi, którzy mnie gościli.

A potem poszliśmy na Pasterkę.

Idąc, mijałam nasz dom. W oknach było ciemno. I znowu musiałam pomyśleć, że oto oni poszli także na pasterkę, tylko inną, niż ja, daleką bardzo drogą...

W kościele, jak zawsze na pasterce, ludzi było pełno. Pełno też było światła, zapachu topionego wosku i odtajającej z mrozu jedliny. Przepychamy się z trudem przez spotniałą ciżbę do ławek przed ołtarzem.

Za chwilę na drewnianych podnóżkach taje śnieg i spływa brudną wodą na czerwony, świąteczny dywan.

Głos organu obwieszcza z wysoka:

— Anioł pasterzom mówił...

Głowa przy głowie stoją twardzi, surowi, chmurni chłopci. Chusta przy chuście stoją szorstkie, gorzkie od pracy, kobiety. Śpiewają za organem zmęczone, oschłe głosy:

— Chrystus nam się narodził...

Jak zwykle. Jak co roku.

A wtem... coś dziwnego zacząć się poczyną w kościele. Nowy ksiądz, starzec z twarzą zaschłą, jak ptasia łapa, daje jakiś znak trzęsącą się ręką: ze drzwi zakrystji poczynają wychodzić parami dzieci, małe dzieci!

Rozstępują się ludzie w dwie strony.

Wąskiem przejściem wśród ciżby dorosłych idą przez cały kościół parami dzieci, małe dzieci, po dwa, po trzy lata... jasne główki odkryte zwracają po za siebie, wciąż poza siebie.

Ostatnich dwoje, najmniejszych, niesie na białej pieluszce Nowonarodzonego!

Rozstąpili się ludzie szeroko. Ojcowie, matki padli wszyscy na kolana. Płacz zatrzęsł suchemi sercami:

— O Jezu! O Jezu!

A dzieci idą parami przez cały kościół. Dwoje najmłodszych z Jezuskiem na rękach staje przed czekającym żłobkiem, pełnym siana.

Staruszek ksiądz drżącymi dłońmi przyjmuje od nich Najświętsze Dzieciątko i składa na pościółce z siana.

Ojcowie i matki biją się w twarde piersi.

— Bóg się rodzi — moc truchleje — poddaje głos organu.

Przez łzy, przez łzy widzą ojcowie i matki jasne główki swych dzieci, stłoczone przy Boskiem Dzieciątku.

Po skończonej Pasterce wracaliśmy pieszo do domu. Mijały nas kobiety w chustkach i mężczyźni w kożuchach z sennymi dziećmi na ręku.

Twarde, do poszturgiwań i kułaków skore ręce poraz pierwszy w życiu ostrożnie, nabożnie i tkliwie obejmowały dziecięce ciała, jakgdyby w ramionach każdego z rodziców spoczywał śpiący, maleńki Jezusek.

HERMINJA NAGLEROWA

33)

ZAWALIDROGA

(pomieść)

Poprzez oklaski przebijały się wołania tak wyraźne, jak linje błyskawic, przecinające smugi ulewy. Gdy wreszcie ucichło, chropawy głos zaczął kruszyć więź dźwięków. Krzyknął ponocny bunt uliczek, po twardym bruku potoczył się huk wystrzału, a z ostatnich słów spływała krew, jak po ostrzu noża. I wtedy w górze sali podniosła się wrzawa niemal wojenna. Z któregoś kąta syknęły protesty, a cieniutkie gwizdy wbiły się w miękką masę wrzasku. Franek patrzył na zgarbione plecy poety. Na co on jeszcze czeka? Ale od góry posypały się natarczywe, bezwarunkowe, nakazujące: bis! bis! — i plecy Wawara zgarbiły się jeszcze wyraźniejszym łukiem, niby plecy niewolnika, osmagane batem, a czarne włosy zwichrzyły się jeszcze mocniej, jakby niemi szarpnął wiatr. Wawar zaczął mówić drugi wiersz: była wiosna i słońce świeciło dla wszystkich, było szczęście i miłość, ale za słabe było serce człowieka.

Szaleństwo rozkrzyczanej sali objęło Franka płomieniem, lecz wypełniony słowem, dźwiękiem i rytmem tego wiersza, odczuwał teraz niezawistny zachwyt. Wawar, schodząc z estrady, jak zjawia, stał się z entuzjazmem słuchaczy.

Niewiadomo, czyj nakaz ustawił Franka twarzą ku sali. Nikt tutaj nie domyślał się, jak mały i pokorny był poeta, choć tak dumnie, tak prawie zuchwale przyglądał się zebranym. Doprawdy — patrząc, nie widział nikogo, a własny głos, wydarty ze ściśnionego gardła, zwibrował się spłoszonym oddechem.

Wiersz w śniadym kamieniu wykuwał powszednią pracę, więc słowo składało się słowu i rymy wiązały się z sobą, jak mocno spojone dłonie. Kiedyś, gdy Franek pisał ten wiersz, w uniesieniu sięgał od samego dna prawdy po szczyty przeczucie, coś jakby samemu sobie wieścił na przyszłe lata, aż ku śmierci. W tej chwili nie wierzył jednak żadnemu słowu, nie wierzył sobie. Wszystko było przecież kuglarstwem ówczesnego uniesienia i teraz, jak kuglarz, oszukuje — publikę.

Nie, nikt nie wiedział o tej hańbie, bo ręce przyjaciół wyciągnęły się do Franka, niby miecze sprysięgłej drużyny. Gorący, rozedrgany, jak po płaczu, byłby się im tu najchętniej przyznał odrazu: Nie, wiercie, bo skłamałem! — Ale właśnie napierali ze wsząd, krzycząc mu w same uszy: — Ty jesteś laureatem, napewno ty!

Franek z trudem wycofał się z natłoku przy-

jaźni i uciekł na kurytarz. Czekali tu prawie wszyscy zawodnicy na wynik turnieju, niby winowajcy na wyrok sądowy. Franek bez namysłu podszedł do Wawara i chwycił go za rękę. Nie mógł inaczej, musiał mu powiedzieć tak właśnie, jak mu się płątały myśli z uczuciem, że to nie tak było, nie tak — że w „Wiośnie“ Wawara była i jego prawda, ale nie miał do niej dostępu, jak żebrak, który rękami czepia się klamki i, płacząc z głodu, odchodzi od zamkniętych drzwi. A zresztą — jego wiersz o pracy nie jest przecież niczem innym, tylko substratem słów. To już tylko własne życie słów wiązało się w treść wiersza, jak-gdyby sama w sobie odbywała się ta przedziwna magja — pulsująca dynamika słów, niezależna od nieczyjej woli.

Tak mu tu mówił odrazu o sobie, pomniejszając swoją wartość. Wawar nie usuwał ręki, ale wąski, siny uśmiešek zdawał się drwić z żarliwości wynurzeń.

— Bardzo się cieszę, że koledze podobał się mój wiersz, doprawdy, bardzo mi to pochlebia.

Oziębła grzeczność Wawara odrazu przywróciła pamięci wszystko, co przez wiele tygodni trwało niechęcią. Niecierpiał przecież tego Wawara, a teraz jakby mu się narzucał! Postali tak obok siebie, niby blisko, niby radzi sobie. Franek usłużnie ofiarował papierosa, a Wawar znowu drwiąco podziękował, że nie pali.

Wreszcie otworzyły się drzwi sali i kilka osób wbiegło na kurytarz.

— Chodźcie, chodźcie, już jest wynik!

Dzwonek narobił więcej hałasu, niż mogły znieść uszy, i potargał serce na strzępy. Dopiero głos honorackora ugłaskał nudą i obojętnością, bo przecież i tak już było wiadome, co tu odczyta z kartki. Więc pierwszy — Franek, drugi — Wawar, potem jeszcze ktoś, jako trzeci, czwarty i piąty. A naostatku parę mdłych frazesów i oklaski skołtunionej sali.

Twarze podpływały niemal pod same oczy, czyjeś usta zwilżyły pocałunkiem, a ręce ścisnęły mocno i porozumiewawczo. Ktoś wreszcie przekrzyczał wszystkich, proponując oblewanie w „Ziemiańskiej“. Brutalne ręce, chwyciwszy Franka za ramię, prawie nieprzytomnego wywiodły z sali i zwlokły po schodach. Na dziedzińcu uniwersyteckim latarnie ćmiły się błado w mroźnej mgle.

W Ziemiańskiej siedzieli z początku nachmurzeni i kelner bezskutecznie domagał się zamówień. Ale jakoś tam wreszcie doszli z nim do ładu i, rozmieszczeni wokół stolika, zaszemrali rozmową. Franek

siedział obok Wawara tak blisko i ciasno, że wyczuwał jego nagle ramię. Mógł teraz dowoli napatrzeć się lwowskiemu koledze. Zacerwienione powieki Wawara opadły nisko, jak we śnie: długie rzęsy plątały się w cieniu, żyłka na skroni drgała, niby żywy robaczek, a w kącikach ust gnieździł się szary punkcik niechęci. Gdy z drugiej strony zagadnął Wawara uprzejmy głos Hanki, zaledwie raczył odpowiedzieć czubkami warg, a jego szczupłe palce splotły się nerwowo wokół szklanki.

Franek coraz uważniej, rzecz można, namiętniej patrzył na Wawara. Cieszyła go subtelna linja nosa i owal wątlých policzków, zielonkawych, jak pierwsze listki wierzby; brwi, rozpięte, nito skrzydła jaskółki, tak samo czarne i świecące, łagodny łuk podbródka, przeczący krwawej pasji buntowniczego wiersza. Wawar wydawał się nieszkodliwy i Franek odczuwał już dla niego tak ciepłą czułość, że byłby go chętnie pogłaskał po głowie, albo ucałował w policzek. Ale, gdy w uśmiechu błysnęły małe, ostre zęby Wawara, ujawniła się wreszcie ta zawziętość, która domagała się aż krwawego porachunku. Mimo to, Franek tak mocno zapragnął życzliwości Wawara, jakgdyby bez niej życie nie miało ani celu, ani wartości. Owszem — znowu i znowu przypominał sobie, że go jeszcze wczoraj, jeszcze dziś przez cały dzień nienawidził, ale tamte uczucia były urojone, a teraz miał go tu przy sobie i uwielbiał go, jak nikogo na świecie.

Tymczasem bas Tadeusza syntetyzował głęboko w piersiach wrażenia z dzisiejszego turnieju. Tadeusz „formował się” bowiem na oficjalnego krytyka najmłodszej grupy poetyckiej i musiał się wygadać.

— Powiedziałbym, że wasz zasadniczy ton jest społeczny. Świetnie — powinien być społeczny. To nasze, wasze prawo — aktualne. Ale wistocie odprawiacie misterjum maszyn, nadużywacie* dźwiękowości, onomatopei. A mimo to wasza maszyna terkoce, jak młynek do kawy. Wyobrażam sobie, że rozśmieszacie fachowców brakiem wiadomości, bo przecież nie macie pojęcia o maszynie. Zresztą, z małemi wyjątkami uprawiacie opisowość, w dodatku nawet niestylizowaną. Dlatego nudzicie nas, jak „Prace i dnie” Hezjoda. Franka ratuje temperament słowa, ale to mu nie starczy na długo.

— A Wawar? — pytano.

— Wawar mówi wierszem artykuł polityczny. Drugi wiersz był lepszy, choć nie powiedział nam nic nowego. Po zsumowaniu dzisiejszych popisów, stwierdzam, że wolę — Mickiewicza.

Wawar zaśmiał się wesoło, jak dziecko.

— I ja wolę Mickiewicza — powiedział wprost do Franka.

Zaczęli więc rozmawiać z sobą półgłosem, nieciekawi już żadnych krytyk. Rozwierali jakby szerokie bramy, za którymi czaiły się w ciemnym wnętrzu najtajniejsze sprawy. Aż się sami przerażali nieobjętością swojej głębi, bujnym rozrastaniem się najzuchwalszych myśli. Więc uskokczyli w bok, szukając ocknienia w rzeczowej dyskusji o formie, rymach porównaniach.

Hanka wsuwała głowę poprzez ramię Wawara i coś tam swojego dodawała, niesłuchana wcale. Franek zauważył wreszcie czarne oczy dziewczyny, które, jak przez gęstwą gałęzi, podpatrywały to cudowne porozumienie z Wawarem. I nagle stało się tak, że nie można już było mówić całej prawdy, bo te obce, zanadto ciekawe oczy nie powinny o wszystkim wiedzieć. Słowa urosły natychmiast w puszyste kwiaty, przejrzystość wynurzeń zamglila się oparem uśmiechów, już inaczej składały się usta i inaczej grał głos.

Wawar nie podchwycił jednak zmiany tonu i dalej grzął w szczerości. Widocznie było mu wszystko jedno, kto go słucha, skoro miał teraz ochotę mówić o sobie. Rozповідаł więc o swoich powszednich sprawach, jak żyje i z czego żyje, popisывał się biedą, niepowodzeniami. Było to wszystko nad podziw drobne i niezajmujące.

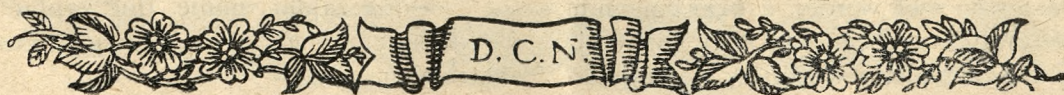
— O panu wiedziałem już od panny Maryny. Jest teraz we Lwowie i nawet kazała mi pana odzyskać.

Doprawdy, poco mówił o tem, co było najzupełniej niepotrzebne? Franek lekceważąco machnął ręką: Ach, tak — Maryna... — Ale Wawar tak się nad nią rozczulał, tak się nią entuzjazmował, że gdyby się jej nie znało z żarnowieckiego parku, możnaby w istocie wierzyć, że to niedościgniony ideał. Kładł Frankowi i Hance w uszy, jak się nim opiekowała, gdy był chory, jakie to serce ma ta dziewczyna! Franek bał się teraz, żeby Wawar nie wyznał zbyt wiele, bo przecież najwyraźniej kształtowały się już na jego ustach rozpalone słowa.

Zosobna odczuwała Hanka prawie żal, że chwala kogoś innego, że tak nie nie znaczą jej, przytomne tu, wartości. Trochę obrażona, dopytywała: kto to i skąd — jakby nie dowierzała Wawarowi. Franek wyczuł od razu w Hance sojusznika, ale nie miał ochoty sprzymierzać się z tą dziewczyną. Dla samej choćby przekory wołał raczej poprzeć Wawara.

— Pan ją zna — zwróciła się do Franka — czy naprawdę aż taka najlepsza?

Franek pomyślał, że Hanka nawet nie umie ukryć swojej zazdrości. Patrzył teraz na Wawara i na koleżankę z wykładów Szobera i przez chwilę zastanawiał się, komu z tych dwojga zrobić przykrość.



ZOFJA REUTT-WITKOWSKA.

W STAREM ZAMCZYSKU

fragment powieści: „Rycerze Pojutrza”.

— Zając stary, a gęś stara — czartowska to biesiada — tfy! zwłaszcza, gdy i gospodarz stary na dobitek!

Nie rad sędziwy pan zamku Thro obiadowi:

— Darujcież, mili goście!

Zamek to był warowny. Trzysta już lat stał, zanim dożył roku tysięcznego od narodzin Chrystusa Pana. Teraz mu się nowa setka lat na kark basztom grubym wali — a nie gną się, mocarki!

— Darujcież, mili goście!

Nie w myśli gościom uraza — zwłaszcza, że i wino także bardzo niemłode na zamku Thro.

— A teraz, Żosselinie, iż za trzy dni Pan się Zbawiciel świata rodzi, powiedz mi, kto i zacz u nas w loszku więzion?

— Pięciu ich siedzą, dziaduniu: dwaj są na kradzieży drzewa latoś przyłapani; dwaj, którzy w stanie się pijanym pobiwszy, wzajem się oskarżyli głosem, iż u jednego żarno się kryjomo nocą obraca, młynny nasze zamkowe ubożąc, drugi zaś podpłomyki cichcem wypieka, byle pieca pospolitego ująć, a grzywny od wypieku zamkowi nie płacić. A nadto jest kobieta jedna, młoda, której urokiem kury okoliczne jaja wszystkie bez skorupy naszać jeły... A nadto, od wczora, włóczęga jeszcze jakowyś, co na myto piechurskie nie miał, którym się każdy, piechotą idący, zamkowi opłacić powinien: obszukany zasię, stroik niewieści, bransolety kształtem i złoty, ponoć, przy sobie zdradził, jeno prosił się okrutnie, iżby mu takowy wrócić, a pracę odbędzie wzamian, jakiejbyście ino zachcieli...

— Drzewokradów nie ciekaw ja. Karceres basztowy ciepły, niechajże tedy w nim zimują, skoro do tyla na opał są łasi. Jędzę też oną zaprzec z nimi wraz, kwoli zacniejszej kompanji; niech ino kry ruszą, popławim, szelmę, w rzece! A iż dwu więźniom każe obyczaj nasz o tej roku porze sfolgować, dawajcie tu sam włóczęgę! zdadzą się tu rąk dwoje. Pijaczynom zasię los ciągnąć każem: komu do dom, a komu więz!

— Sprawiedliwieście to, dziadku, rozsądzili, niczemby ten właśnie Salomon-król — śmieje się pan Żosselin, gospodarza starego wnuk.

— Jeśli goście nasi oględzinom więźniów asystować raczą, prosim do komnatki sądowej, podle baszty.

Nieskończoność wilgotna korytarzy, schodów kręconych... aż wreszcie i komnatka, sądową nazwana. Mała, ciemna, jeno stół w niej, a krzyż na nim. Zydelków niesporo, dla onych, którzy sądy sprawują.

Prowadzą załoga pańska więźniów siedmioro.

Chłopaki dwa znędzniłe, w parciankach, boso. Drzewokrady. Pokasłują, niby te owce, stulone ku sobie, zastrachane, durne. Kobieta nad miarę urodziwa i przystrojona w piękne samodziały czarne. Jeno czepiec już zmiął się i zbrukał nad twarzą świeżą, białą i rumianą, z oczyma zielonemi, ciemnymi, jako to wielkie morze zachodnie. Hardo patrzą. Dwaj dalej w kozuchach starganych, sami kozuchem włosia brudnego na głowie, twarzy i rękach porośli. A za nimi postać smukła, w habicie szarym, ku stołowi na skinienie postąpi.

Wielki Boże! Jakaści twarz osobliwsza, ni-to Chrystus Pan z kędziorów świetlistych zwojami, ku ramionom płynących, a z brodą miękką, jasną. Oczy lazurową pogodą z lic wyzieraają szczupłych i przecznych, płoniących się raz wraz jutrzemką, niech wzrok poczuja obcy na sobie.

— Hm! — chrząknie pan zamku. Oczyma od jednego do drugiego sunie.

— Ciebie kto skarżył, kobieto?

Opuści się na kolana podsadna. Jeno pokory i w tym ruchu nawet nie widno. Zadzźwięczy głos bohatersko, rzeźwo:

— Skarżyli mię, panie, którzy mię z dziedzictwa mężowego wyzuć chcą. Nieboszczyk mój wolny był niegdy człek, jeno mię, niewolną, poślubił.

— Hm! — chrząknie pan zamku. — Niewolnych dwu każe obyczaj w tej roku porze wolnością darować. Iżem nie pomyślał jeszcze, kogobym wyzwolił, rąk zaś do pracy glebie mi mojej odejmować niesporo... mniemam, sprawiedliwą będzie rzeczą, jeśli was dwoje, czyli nieboszczyka twego, a ciebie też samą wolnymi ogłoszę, ha?!

Spręży się klęcząca — oczy blaskiem zapłoną.

— Bóg zapłać, panie. Bóg zapłać! — zawoła głos rzeźwy, a ręce kolana pańskie oplotą.

— Czekajże, kobieto! — odtrąca ją zlekka pan, a lic jej dwoma palcami uniósłszy, rozejrzy się w twarzyczce świeżej, białej i rumianej. — Czekajże. Iżś wiedźma — nie masz albowiem dymu bez ognia, skarg zasię, co byłyby gołosłowne ze szczętem — lodów ruszenia w baszcie doczekasz, a pławienie ci grzeczne. przykładowi kwoli, sprawim... jeno nie w tych oto kieckach zasobnych, iżbyś snadź nie spłynęła na nich, rybeńko! na zgubę swą oczywistą. Bo, jeźliś — przypadkowo — nie wiedźma, nie chcę ja twojej szkody.

— Bóg zapłać, panie. Bóg zapłać! — raduje się głos bohaterski, nie a nie pławienia zapowiedzią nie zmarkoczon.

— Wy dwaj... drzewa pańskiego miłośnicy, kto zacz? i z poduszczenia czyjegożeście kradli?!

— Symeonowej my... macierzy naszej, potomstwo... Kradlim, panie, bo zima sroga szła, panie... a zachorzała od chróścianego ognia skąpego mać naszą... wdowa...

Groźnie chrząknie pan zamku.

— Nie tuczy kradzione, ani zagrzeje, wilcze wy syny! — zagrzmiał.

Kulą się k'sobie w parciankach swoich, a strachem lutym bardziej jeszcze, niż zimnem, pomarzają.

— A co! może mi w żywe oczy lgać będzieta, że ciepło, ha?!

— Zimno, panie... zimno.

— Kozuchy tym darować, a do baszty zpowrotem. Grzejcie się, złodziejaski, do wiosny!

— Bóg zapłać, Bóg zapłać, panie! — zaskamla, nagle szczęściem kożuszków olśnieni, dla których i do wiosny więzić odsiedzieć warto.

— Drzewo Symeonowa mieć będzie i bez łaski waszej, drągale!

— Bóg zapłać, Bóg zapłać! — promienia się owi.

— Jenoc jeszcze, dla lepszego wspominku, pamiątka wam! Bizunów każdemu z onych po trzydziści, od dnia dzisiejszego począc, bez trzy dni, do Wigiljej samej, aby im prawie było ciepło — do dziesiątnika się obróci.

— Bóg zapłać, panie! — zwarzają się zlekka radoście.

— Panie hrabio! — ozwie się pani Anna de Crespy. — Czylibyście też onym nie skrócili egzekucyj? młode to jeszcze, głupie...

Obróca owi oczy zwierząt jakoby leśnych — niewinne — ku mówiącej.

— Com rzekł — rzekłem, pani, darujcie — rozroży się staruszek. — A iżby orędownictwo wasze popamiętali sobie, trutnie: Symeonowej półtora miarki żyta na kołacz świąteczny; ha! więcej to, niżescie oba razem warci, wilcze wy syny! — gniewa się pan.

— Bóg zapłać, Bóg zapłać!... — klaskają, rozjaśnieni znów. A dyć to samo żyto stu warte bizunów!

— A wy zasię, niedźwiedziska wy stare, plugawe! żaren się wam zachciewa, podpłomyków domowych, co?! A wszystko zamkowi na szkodę, wszystko! I jabłeczniaka spleśniałego na dobitek... a to na szkodę rozumowi własnemu i duszy nieśmiertelnej, zachciewa się wam napitku, ha?! Aże wam ozór nienasycony, jako słyszę, ten wam stanął ku zdradzie: moczył go w napoju gorącym, a nurzał go, aże rozwiązał się ku zatraceniu waszemu, szelmowie, syny djabelskie! ha?! — grzmi pan zamku.

Ponuro stoją dwaj.

Z urazą i wzgardą mierzy ich pańskie wejrzenie.

— Tfy! niegodniście i karceresu zamkowego, niemrawy uprzykrzone! — huknie. — Ruszajcież mi oba precz!

Do dziesiątnika się, nie mieszkając, obróci: — Dwie doby tym nieprzerwanie kaszę w żarnach, dla przykładu, obracać, a potem boczków cośkolwiek, na podpłomyków onych pamiątkę, przysmalić, a dziegiu dać popić obfitym garliskom nieczęściwym, tfy!

— Bóg zapłać, panie! — mrukna.

Zły pan zamku:

— A iż obyczaj każe dwu jeno w onej roku porze wypuścić, ostaniesz mi w baszcie... do Trzech Króli, ty tam, powsinogo!

— Bóg zapłać, panie — zadzwieczy głos tak osobliwy, słodki, że uniesie głowy pan, a pojrzy w twarz włóczędze.

— Hm! Na rogatkowe, ponoć, nie laska, chocia klejnociki zaszyte na sobie piastujesz, co? Gdzież ci ubiorek on złoty, niewieści... ha?!

— Z załogi waszej ktoś wziął, panie. Jeno nie widzę go tu...

— Któż go z was obszukiwał?

— Piotr, Garbusiów syn, to był, widno — dziesiątnik powie.

— Słać za nim! A jakże to pracę zaofiarujesz mi, obieżyświatku, co? Na głowie nie staniesz, boś nie skoczek, to się wie!

— Kamieniarz jestem... i malarz, panie.

— Izbę zabielić potrafisz uczciwie?

— Kaplicę wam ozdobię, panie, jako tylko zechcecie.

— Nie o kaplicy ci gadam, jeno o izbie pierw!

Jak dziwnej twarzy kamieniarz on wędrowny i malarz!

— A dokądś to tak śpieszył, jeśli wiedzieć wolno, z zadymką prosto w nos?

— Do św. Albina droga mi... opactwu służyć.

— Kawał świata! chodliwyś, zuchu! A cóżes to chciał sprawić w opactwie, ha?!

— Rzekłem, panie. Kamieniarz jestem... i malarz. Kościół tam cały czeka rąk.

— Obrazy więc malujesz?

— Tak, panie.

Patrzy się pani Anna wciąż w oną twarz Chrystusową, przezrocza. Ów także pogląda ku niej czasem, niepewny... jakoby szukał czego w pamięci.

— Matkę Bożą malować będziesz? — zapyta pani Anna wtem, a uśmiechnie się ku nieznanomemu.

— W płaszczu błękitnym — zapłoni się ów.

— I żeby słońce przez Nią przeświecało... co? (Matuńcia wie wszystko!).

(dok. na st.)





Wojciech Weiss: „Remedios”.

WYSTAWA „RYTMU” I „SALON” W ZACHEŃCIE

Ostatnia Wystawa „Rytmu” w Salonie Garlińskiego należy do mniej udanych.

W zasadzie trudno się zorientować: co dziś właściwie łączy Rytmistów pod jednym znakiem? Dlaczego występują wciąż jeszcze, jako jedna grupa artystyczna? Cóż ma wspólnego dzisiejszy Skoczylas z Kamilem Witkowskim, a Ślodziński z Wąsowiczem, czy Tymonem Niesiołowskim? Odeszli od siebie niesłuchanie daleko, dzieli ich przepaść nie tylko odmiennych rozwiązań malarskich, lecz także i różnica w samym zasadniczym ustosunkowaniu się do tworzywa malarskiego „jako takiego”, definitywnie odmienne pojmowanie tego, czym jest w ogóle obraz.

Interesujące, że najbardziej leży na linii dawnych poczyną „Rytmu”, najbardziej konsekwentnie rozwija pierwotne zamierzenia — sztuka rzeźbiarza, Henryka Kuny. Ta sztuka, stylizowana (lecz z wielkim umiarem), ta sztuka, tęskniąca do pewnej specyficznej — rzecby można, nowoczesnej — harmonji i ładu, ta sztuka, oparta na idealizowaniu kształtu realnego, lecz zarazem wydobywająca i dyskretnie podkreślająca wszelkie, tkwiące w rzeczywistości, elementy dekoracyjne — nawiązuje do tego, czego można było od „Rytmu” oczekiwać, a jednocześnie jest już pewnym „dopełnieniem”, pewną syntezą. Jeżeli piękny „Chrystus” — tors w brzoźnie — pomyślany, jako kształt, pełen siły i mocy, w wykonaniu odznacza się

nadmierną może miękkością — pełną zresztą wdzięku — to prześliczna, subtelna, pełna spokojnej ekspresji głowa dziewczynki, rzeźba, w której założenie zbiega się już najzupełniej z osiągniętym efektem — stanowi przypieczętowanie doskonale niemal i idealnie określonego kierunku artystycznego.

Oto przynajmniej konsekwentne wydobywanie wartości w tej samej, raz obranej płaszczyźnie. Lecz co robią inni?

Skoczylas — którego grafiki pozostaną bezsprzecznie jednym z najrzetelniejszych dokonań plastycznych w sztuce polskiej ostatnich lat — wystawia akwarele, których walory dekoracyjne nie stoją na poziomie dostatecznie wysokim na to, by same przez się usprawiedliwiały ich istnienie, a jakiegokolwiek innego założenia malarskiego — niepodobna się doszukać. Ów sielski góral w otoczeniu swych owieczek — obraz martwy i niezwykle powierzchowny w tonacji barwnej, nudny w kompozycji, dziwnie jałowy — nie jest godny doprawdy Władysława Skoczylasa. Podobnie owe „puste” od wewnątrz pejzażyki. Ufajmy, że to tylko mała pauza, krótki moment zastój.

I Ślodziński sprawia bolesny zawód. Ten malarz, po którym spodziewaliśmy się najbardziej interesujących osiągnięć w dziedzinie pogłębionej, wzmocnionej od wewnątrz formy, kształtu malarskie-

go — uderza nagle w tony nie o jedną, lecz o wiele oktaw niższe od dotychczasowych. Pusta „reprezentatywność”, wyrażająca się w hieratycznym geście i wspaniałości... ubioru, zastępuje patetyczność istotną, malarską, płynącą z pogłębienia formy, z siły i wyrazistości rysunku, z przychwycenia na gorącym uczynku i zaklęcia w kształt widomy — wyrazu. Zły to znak, gdy *plaszczyna, okolona linja*, występuje w miejsce *formy*...

Podobne zrezygnowanie z wszelkiego pogłębienia problematów, zarówno treściowych, jak — co może jeszcze gorsze — czysto malarskich, pójście drogą najmniejszego oporu — wykazują obrazy Borowskiego, Roguskiego, Rzeckiego, Pruszkowskiego. Dziwna pustka wieje od tych płócien, pokrytych — ot, tak sobie, jakby przypadkowo — taką czy inną kombinacją mniej czy więcej brudnawych kolorów...

I cóż w tem całym towarzystwie robi — Kamil Witkowski? Skąd jego świeża, wiecznie żywa, niepokojąca twórczość na tej wystawie — a prawdę powiedziawszy, skąd wśród „Rytmu” wogóle? Bo właściwie sztuka Witkowskiego nigdy się z założeniami „Rytmu” nie pokrywała. Jeśli „Rytmiści” szli zawsze w kierunku podkreślania elementów dekoracyjnych



Niesiołowski Tymon: „Głowa starego kłowna”.



Henryk Kuna: „Głowa” (fragment).

widzialnej, istniejącej obiektywnie rzeczywistości — to Kamil Witkowski starał się zawsze wydobyć *wyraz*, utajoną ekspresję z tego, co stanowi niejako rzeczywistość „drugiego rzędu”, zaczarowaną, dostępną tylko dla wybranych, dziedzinę — ze świata kolorów i form, „jako takich”. Dawniej czynił to w obrębie kształtów abstrakcyjnych, dziś maluje t. zw. „martwe natury”. Lecz to obojętne. Ważne jest wiecznie czujne i ostre nastawienie, przychwytywanie owej „duszy koloru” i „duszy rzeczy” w połączeniu z niezawodnym, częstokroć samego siebie nieświadomym, instynktem malarskim. Drapieżny w pewnym sensie „Autoportret” i owa czarno-biała „martwa natura” Witkowskiego — to nietylko najmocniejsze rzeczy na wystawie, lecz zarazem jedne z najbardziej interesujących, jakie wogóle ostatnio w Polsce widzieliśmy. Tylko to nie jest — „Rytm”.

Oddala się również bardzo od „Rytmu” doskonale kolorysta, Waław Wąsowicz. Wystawione ostatnio jego akty kobiece są w zasadzie w ostatecznych rozwiązaniach kolorystycznych słabsze od dawniejszych jego prac, doskonale zrównoważonych (w sensie malarskim, oczywiście). Mimo to jednak zdradzają niespokojne poszukiwanie nowych dróg. A to już bardzo wiele znaczy.

Interesujący jest „zielony” kłown Tymona Niesiołowskiego, subtelny w tonacji barwnej i dobry

rza są nieco zbyt miękkie, możnaby powiedzieć „wiotkie“ kolorystycznie. I one również nie dorastają stanowczo do możliwości artysty.

Wreszcie obrazy Gottlieba Leopolda, rozmyślnie jakby niewykończone, lecz może już nie rozmyślnie „puszczane“ w partjach drugoplanowych — dają przedsmak bardzo ciekawych osiągnięć. Wpływy paryskie kojarzą się tu z odrębną indywidualnością artystyczną, bezwzględnie interesującą. Narazie brak jeszcze ostatecznej kropki nad *i*.

Można się gniewać i ubolewać nad wystawą „Rytmu“ — głównie zresztą przez sympatię dla tego ugrupowania, tak utalentowanego, a tak lekceważącego odnoszącego się do własnej pracy. Lecz na odbywającą się jednocześnie wystawę „Salonu“ dorocznego w Zachęcie — niepodobna się ani gniewać, ani oburzać. Należy już dziś do złego tonu, brać wogóle poczynania „Zachęty“ na serjo. Istotnie, z roku na rok sytuacja się pogarsza. Co rok człowiek z przerażeniem stwierdza, że poziom t. zw. „Salonu“ przechodzi wszelkie oczekiwania, co rok pociesza się, że gorzej już przecież być nie może — i co rok okazuje się, że się pomylił, bo jednak możliwości gradacji in minus są nieskończone. O obecnym „Salonie“ można ostatecznie mówić prywatnie, podobnie, jak się czasem pobłażliwie omawia produkcje amatorskie, bardziej lub mniej — przeważnie jednak mniej — udane sympatycznych znajomych — niepodobna jednak omawiać ich z powagą publicznie, jako coś, co ogół doprawdy może zainteresować.

Niestety, „Zachęta“ jest dziś jedynym — na terenie sztuk plastycznych — naszym gma-



Apoloniusz Kędzierski: „Dziewczyna przed kościołem“.

chem „reprezentacyjnym“, w „Zachęcie“ ślepo wierzą setki i tysiące pocziwych ignorantów i laików w dziedzinie sztuki i na to — podobno — nic nie można poradzić... Więc cóż? Powtórzyć raz jeszcze, z całym naciskiem, że te przedmioty, które wiszą na ścianach gmachu przy pl. Małachowskiego, to właściwie wogóle nie są obrazy. To są konik, czy dama, domek, czy trawka, święty w aureoli, czy chłopiec przy pługu — wszystko na jedno kopyto. O, te tematy, te tematy! Co za różnica, czy pani X, albo pan Y namalują „kompozycję figuralną“, czy „pejzaż jesienny“, czy „zacziszone wnętrze“? I tu brudno, i tam szaro, i tu „dziura“, i tam ślepotą — a wszystko razem — beznadziejność...

I znów — skąd się tutaj bierze Wojciech Weiss? Człowiek aż przeciera oczy, kiedy nagle zpośród tego oceanu szarzyzny wyłania się czerwono-srebrzysta wysepka: obraz... Nareszcie prawdziwy obraz! Prześliczny, jak zwykle, w tonacji, typowo „weissowski“ akt kobiecy — potem bardzo ciekawa pod względem faktury jakaś „modelka na kanapie“ (nie wiem, czy się tak nazywa, ale to wszystko jedno), wreszcie — najciekawszy, rembrandtowski zupełnie w swej brunatno-złotej tonacji, akt mężczyzny. To jakiś nowy Weiss, którego nie znamy, i dlatego właśnie jesteśmy go ciekawi.

Trzy akwaforty Wyczółkowskiego mają również zdziwione miny w tym niezbyt dla siebie odpowiednim zespole. „Gitarzysta“ Pronaszk, kilka poważnych i rzetelnych pejzaży Kędzierskiego, kompozycja Grabowskiego Zygmunta — oto bodaj wszystkie dodatnie pozycje, jakie się jeszcze uda ocalić. Jak na sześć „nabitych“ sal — to niezbyt dużo... (Nawet kochaną salę „Grunwaldzką“ zabrali nam tym razem!).

l. j.



Magdalena Gross: „Gloma“.

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

INSTYTUT WYDAWNICZY „RENAISSANCE”.

Jakób Wasserman: „Djabeł w płomieniach” — powieść — przeł. Marcei Tarnowski.

Jakób Wasserman: „Symfonia prometejska” — powieść — przeł. Marcei Tarnowski.

KSIEGARNIA ŚW. WOJCIECHA.

Edward Kozikowski: „W towarzystwie wierzby” — (poezje). „Kwadruga” — miesięcznik literacki. Rok III. Nr. 1. — Warszawa 1929 r.

Jerzy Bandrowski: „Wieś mojej matki” — opowieść.

Gustaw Morcinek: „Serce za tamą” — nowela.

Powieści dla młodzieży.

Jakób Fenimore Cooper: „Pionierowie” — powieść — przekład z angielskiego O. S. — z ilustracjami Stan. Sawiczewskiego.

Al. Leśnińska: „Entuzjastka” — powieść z czterema portretami — wydanie czwarte.

Walerja Szalay-Groele: „Królewskie Pachole” — opowiadanie historyczne — wydanie III — winieta i 4 ilustracje prof. Stan. Sawiczewskiego.

Walery Przyborowski: „Myszy króla Popiela” — opowiadanie przedhistoryczne — winieta i ilustracje prof. Sawiczewskiego.

I. Gajewska: „Kierdej” — wydanie trzecie — winieta i ilustracje Bogdana Nowakowskiego.

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ.

W. Przyborowski: „Młody konfederat barski”.

— „Chrobry”.

— „Olszynka grochowska”.

WYDAWNICTWO KSIEGARNI J. LISOWSKIEJ.

Ewa Szelburg-Zarembina: „Majster Klepka” (osiem barwnych opowiadań na tle codziennych zajęć ludzkich) z 10 ilustracjami S. Norbina.

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE W WARSZAWIE.
(WYDAWNICTWA J. MORTKOWICZA).

Gdynia i morze polskie. — Osiem kompozycji barwnych Wacława Zaboklickiego, teksty Stefana Żeromskiego.

Pascha — pieśni o *Zmartwychwstaniu Pańskim*. — Kompozycje i rysunki Zofji Stryjeńskiej.

Jan Kasprzowicz: Taniec Zbójnicki. — Cztery plansze, inicjały, zakończenia i okładkę wykonał w drzeworycie Władysław Skoczylas.

PANTEON.

Demokryt: „Myśli” — przekład L. Staffa.

Heraklit: „Myśli” — przekład L. Staffa.

Epiktet: „Euchiridion” — przekład L. Staffa.

Benedykt Spinoza: „Myśli” — przekład L. Staffa.

Janina Mortkowiczowa: „Anulka” czyli osiem lat życia dziewczynki — książka dla dzieci i dla rodziców.

Ewa Szelburg: „Bracia-miesiące”.

— „Renine wierszyki”.

Michał Siedlecki: „Głębiny”.

Franciszek Molnar: „Chłopcy z placu broni”.

Helena Bobińska: „O szczęśliwym chłopcu”.

— „Tajemnica Romka”.

M. Iljin: „Sto tysięcy „dlaczego”. Podróż po mieszkaniu.

Janusz Korczak: „Józki, Jaśki i Franki”.

— „Bankructwo małego Dżeka”.

— „Prawidła życia”. Pedagogika dla młodzieży i dorosłych.

Najpiękniejsze baśnie H. C. Andersen’a. Nowy przekład pod redakcją J. Mortkowiczowej. Z ilustracjami kolorowymi K. Nielsena.

Zofja Żurakowska: „Skarby”.

— „Pożegnanie domu”.

— „Trzy srebrne ptaki”.

— „Pójdziemy w świat”.

— „Gość z Ameryki”.

— „Roman i dziewiętnastu”.

— „Fetysz”.

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE.

Janusz Makarczyk: „Nowa Brazylja” — dżungla, osiedla, ludzie. Z przedmową Aleksandra Świętochowskiego.

Mieczysław Fularski: „Argentyna, Paragwaj, Boliwia” — wrażenia z podróży.

BIBLIOTEKA GROSZOWA.

Peter Nansen: „Niebezpieczna miłość” — romans, przeł. Leo Belmont.

Tomasz Hardy: „Szafirowe Oczy” — powieść.

H. Zakrzewska: „Płomień na śniegu” — powieść.

Marja Grossek-Korycka: „Z krainy piękna”. Skład główny w księgarni Wojnara.

Z KSIĄŻEK

Edward Kozikowski: „W towarzystwie wierzby” — Nakład księgarni św. Wojciecha.

Typowy liryzm samotniczy, poezja, która usiłuje być ekwiwalentem życia i współżycia, a w tym jej wysiłku daremny jest niedosyt, ziarno goryczy, które nie zatrzuwa, ale zaprawia tęsknotą i smętkiem długie godziny, spędzane „w towarzystwie wierzby”.

W towarzystwie wierzby — to znaczy, sam na sam z naturą. Nie jest to bez znaczenia, że autor instyktownie zaznacza i podkreśla umiejscowienie swojej poezji w przestrzeni, nie w czasie: „W granicach Beskidu”, „Na wąskiej drodze”, „Nieznany trakt”.

I nawet wtedy, gdy wyraża uczucia, zdawałoby się, na wskroś osobnicze i skierowane do ludzkiej jednostki istniejącej, filtruje je zawsze przez zwiewną mgłę pejzażu, przez metaforę, która organicznie wiąże to uczucie z przyrodą.

„By w deszczu pocałunkach i w wichury pieszczotach dojrzało tysiąc smutków i ta jedna tęsknota”.

Tęsknota prowadzi poetę w ramiona przyjaźni, tęsknota budzi w nim pragnienie zwierzeń, które są niepotrzebne, z chwilą, gdy powiernikiem staje się ziemia. „Chciałem wszystko powiedzieć”, — oznajmia nam poeta, ale

„Nim wykrztusić zdołałem pierwsze słowo zwątpienia, już me serce stanęło, jak ta lipa w promieniach, gdyś bez słowa jednego, lecz rękoma drżącymi na mem sereu położył garść znajomej mi ziemi”.

Słowa są zbędne, kiedy przychodzi do głosu miłość przyrody, wielka koicielka zwątpień i bólów. Ona to widokiem fal łagodzi smutek miłosnej rozłąki.

„Trudno rozłączyć ręce, splecione w uścisku i odejść — dwojgu bliskich — w dwie odmienne strony...
...A jednak, gdy pożegnał brzmia zewsząd wołania,
...zawierzmy raczej fałom, które w dniach rozstania odchodzą z tem pragnieniem, by spotkać się znowu”.

Przy takim nastawieniu uczuciowem nie można nigdy dojść do tragizmu. Tonem najgłębszej boleści może być tylko ton przygnębienia, któremu z natury rzeczy brak tej pełni, jaką daje erupcja skondensowanej namiętności.

Poezja Kozikowskiego obraca się w sferze półtonów, raczej łagodna, niż dynamiczna. Jej refleksyjność skłania ją raczej ku spokojnej, opisowej epice. Szczęśliwy wyjątek stanowi pod tym względem „Ballada o młynie“, gdzie w rozmiarach dziesięciu strof udało się pocie zamknąć całą symfonię hałasów, poświstów, jazgotów i nawoływań zaczarowanego młyna. Powołane tu zostały do czynu akustyczne walory słowa, których dotychczas poeta zdawał się nie doceniać. Energiczny rytm, umiejętne operowanie rymem i asonansem, instyktowne, czy też świadome zarchaizowanie faktury — wysuwają „balladę“ na czoło zbioru i dają nam prawo sądzić, że poeta znalazł tu właściwą sobie drogę ekspansji twórczej, drogę swoistego formizmu.

S. P. O.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

KIEDY TO ZROBIĄ WSZYSTKIE MIASTA
PROWINCJONALNE?

Związek Obyw. Pracy Kob. w Częstochowie zorganizował akademję ku czci Marji Curie-Skłodowskiej. Obchód odbył się w Sali Rady Miejskiej i wypełniony został odczytem prof. Pawłowskiego o działalności wielkiej uczzonej i częścią koncertową. Sala wypełniona była publicznością. Pomysł Związku jest doskonały. Tego rodzaju wieczory przyczyniają się znakomicie do rozwoju poważnej kultury, a jednocześnie stanowią pierwszorzędny środek agitacyjny w celu zbierania składek na instytut radowy.

NALEŻY WZBOGACIĆ TEN KSIĘGOZBIÓR.

Zarząd Stowarzyszenia Kobiet z Wyższem Wykształceniem zwraca się z uprzejmą prośbą do osób, które wypożyczyły swe książki do pawilonu Pracy Kobiet na P. W. K., aby zechciały je ofiarować bibliotece Stowarzyszenia. W razie, gdyby zainteresowani nie mogli przychylić się do naszej prośby, zechcą zgłaszać się po odbiór książek do Centralnej Biblioteki Wojskowej (Al. Ujazdowskie 1) w godz. 5 — 7, lub do p. Jaczewskiej — tel. 25-79, Uniwersytecka 1 m. 6 — do dnia 15 grudnia b. r.

Książki, po które w powyższym terminie nikt się nie zgłosi, będą włączone do wspomnianej biblioteki Stowarzyszenia.

WYCHOWAWCY NAJBIEDNIEJSZYCH DZIECI.

W pierwszych dniach grudnia odbył się w Warszawie zjazd Związku Zawodowego Wychowawców polskich. Młode to stowarzyszenie pracuje dopiero od trzech lat w kierunku racjonalnego kształcenia wychowawców zakładów opiekuńczych. Sprawa ta do niedawna nie istniała. Jako wychowawców, rozumiano tylko nauczycieli szkół średnich i powszechnych. O kształceniu fachowców-wychowawców zakładów opiekuńczych nie było mowy, nazywano ich nawet nierzadko „dozorcami“!

Jednym z ludzi, którzy zaczęli tę sprawę w Polsce, był prof. Czesław Babicki, długoletni dyrektor i organizator wzorowo prowadzonych zakładów wychowawczych w Pruszkowie. W tych to zakładach opracowywano programy i kształcono teoretycznie i praktycznie, wychowawców. Obecnie sprawą tą zajmuje się rząd, jak to zaznaczył p. B. Krakowski w swym referacie, stowarzyszenie zaś liczy znaczną ilość członków i rozwija się pomyślnie.

Warunki tych wychowawców, których zadaniem jest najczęściej zupełne zastąpienie dzieciom opuszczonym opieki ro-

dzicielskiej, są b. ciężkie, gdyż same zakłady znajdują się w podobnym położeniu. Pomimo tego, stowarzyszenie ma już realny dorobek swej pracy: biuro pośrednictwa pracy, biuro porad wychowawczych, wydaje też własne pismo: kwartalnik „Wychowawca“.

W ciągu dwudniowego zjazdu, zebrani wysłuchali ciekawych referatów fachowych, zwiedzili Pracownię Psychotechniczną, Ośrodek Zdrowia przy ul. Puławskiej, oraz wzięli udział w Seminarjum wychowawczem, prowadzonym przez prof. Babickiego.

DOSKONAŁY PORADNIK ZAWODOWY.

Ministerstwo W. R. i O. P. wydało ciekawą broszurę: „Prace Instytutu Psychotechnicznego“. Zawiera ona zestawienie braków fizycznych i psychicznych, przeszkadzających w wykonywaniu różnych zawodów. Uwzględniono 220 zawodów męskich i 116 kobiecych. Z pracą tą powinny się zapoznać matki, nauczycielki i wychowawczynie, oraz wszystkie kobiety, którym wypadnie często zastanowić się nad wyborem zawodu własnego, lub pokierować kimś w takim wypadku.

NOWY KURS DLA PIELEŃNIAREK.

Wyższa Szkoła Pielęgniarek i Higienistek P. C. K. w Poznaniu (ul. Grottera 5) rozpoczyna nowy kurs w lutym 1950 r. Przyjmuje się kandydatki z co najmniej 6-o klasowym wykształceniem gimnazjalnym. Prospekty na życzenie wysyła Dyrekcja Szkoły.



Szandar Szkoły powszechnej Nr. 98, ufundowany ze składek uczniów, wykonany przez absolwentki III miejskiej szkoły rękodzielniczej, według projektu p. M. Obrębskiej.

SZPITAL KOBIECY.

W Londynie powstaje lecznica pod nazwą „Marie Curie Cancer Hospital”, przeznaczona tylko dla kobiet, z personelem wyłącznie kobiecym i kliniką radiową. Curie Skłodowska dokonać ma osobiście otwarcia tego zakładu.

PREZYDENT REPUBLIKI BĘDZIE KOBIETĄ.

Znany francuski reformator mody męskiej, p. Maurycey de Valeffe zabrał się teraz do lansowania dużo poważniejszej reformy.

Żąda oto ni mniej ni więcej, jak zmiany naczelnego przedstawiciela republiki w duchu równouprawnienia: prezydentem Francji powinna być kobieta!

Nie wiadomo, czy to uporczywe bezceństwo prezydenta Doumergue (odrzucał już wielokrotnie ponętne i natarczywe oferty matrymonijalne) nastroja p. de Valeffe tak melancholijnie, dość, że twierdzi on, iż pałac Elizejski jest smutny i ponury, bez wdzięku twarzyczki kobiecej, bez promienia uśmiechu niewiaśty.

Prezydentem republiki powinna być francuzka. Przede wszystkim wybory byłyby niesłychanie uproszczone. Zamiast gorących sporów partyjnych, rzecz sprowadziłaby się do zagadnienia, która jest najpiękniejsza, najbardziej urocza i mądra pani ze sfer dyplomatycznych. Tak, bo kandydatka musiałaby do tych sfer należeć, to konieczne, ze względu chociażby na to, że komuś mogłoby przyjść do głowy postawić np. kandydaturę... Mistinguette.

Najlepiej, zdaniem p. de Valeffe, aby „panią” prezydentem została żona jednego z ministrów czynnych, lub w dymisji. Naturalnie, że o ileby małżonek był w czasie wyboru żony ministrem, zgłosiłby musiał swe ustąpienie, otrzymując wzajemnie tytuł i funkcję „szefa gabinetu cywilnego prezydenta”.

Lękacie się, mówi p. de Valeffe, że kobieta nie będzie umiała prowadzić polityki? Nic podobnego, zaręczam wam, że tworzenie rządu poszłoby błyskawicznie, któż bowiem łatwiej od kobiety pogodzić może dziesięciu mężczyzn o sprzecznych opiniach? Trudności prezydentury? Trzy razy trudniej jest prowadzić salon polityczny, a to potrafi każda przeciętna ministrowa.

Wszystkie wielkie fakty, zachodzące w dziejach narodu, mają swoje odbicia w grotesce. Gdy Francja, wprowadzając na tron Napoleona, orzekła: „Rząd Republiki powierzony zostaje cesarzowi”, dziś, po 125 latach p. de Valeffe proponuje: „Rząd Republiki powierzony zostaje kobiecie”, opatrując swoje żądanie zupełnie groteskowymi motywami.

KTO TAK NAPISZE?

Na międzynarodowych zawodach stenotypistek w Paryżu pierwszą nagrodę otrzymała angielfka, Miss Mitchell. Jest to fe-



Miss Helena Mitchell.

nomen w zakresie maszyny: panna Mitchell pisze dwa tysiące liter na minutę, pod dyktando szybkości 140 słów na minutę. Dotychczas za najlepsze stenopistki uchodziły w Ameryce indjanki z pochodzenia, ale i one nie mogą, zdaje się, pobić rekordu Miss Mitchell.

SZKOŁA RACJONALNEJ HODOWLI DROBIU.

Jaknajwiększa wydajność małych gospodarstw rolnych, hasło oddawna wprowadzone w życie zagranicą, zaczyna zyskiwać popularność i u nas. Jedną z gałęzi tej produkcji jest udoskonalenie hodowli drobiu. W celu wykształcenia fachowych hodowczyń, Kółka Rolnicze C. T. R. organizują szkołę hodowli drobiu dla dziewcząt w Julinie. Kurs, który rozpocznie się w styczniu przyszłego roku, obejmie naukę hodowli drobiu i zwierząt futerkowych, organizację gospodarstw drobiowych, organizację zbytu, rachunkowość, uprawę warzyw na paszę. Do szkoły przyjmowane są dziewczęta od lat 16-u ze świadectwami 7 klas szkoły powszechnej, lub niższych szkół rolniczych. Podania należy kierować do kierownictwa szkoły w Julinie, poczta Łochów.

SZEŚCZDZIESIĘCIOLECIE CZESKIEGO SOKOŁA ŻEŃSKIEGO

W Czechosłowacji obchodzono z wielką uroczystością 60-letni jubileusz założenia Sokola Żeńskiego. Załączona efektowna rycina, przypominająca obrazy z klasycznych igrzysk greckich, przedstawia symbolicznie hołd, oddany pamięci zmarłych członkiń, założycielek stowarzyszenia.



Sokolice czeskie.



Stół nakryjemy cienkim, białym obrusem, a pokój przystroimy zielenią.

NA MARGINESIE ŚWIĄT

Boże Narodzenie zbliża się różnym krokiem, a z niem wakacje szkolne dzieci i młodzieży, parodniowa przerwa w pracach zawodowych.

Wyjazdy i przyjazdy, odwiedzanie się wzajemne w miastach, zjazdy po wsiach i, oczywiście, ściśle związane z tem kłopoty finansowe, a nadewszystko gospodarskie. Trzeba przecież zgromadzić na kilka dni zapasy spiżarniane, aby niczego nie zabrakło w czasie zamknięcia sklepów w mieście, a niemożności zdobycia czegoś zapomnianego — na wsi.

Wobec tego wszyscy, zależnie od kieszeni i upodobań, muszą myśleć, w co się na święta zaopatrzyć, a także, jak je spędzić.

Hołdując tradycji, wigilję spędza się przeważnie wśród najbliższej rodziny, jak i następujące potem dni świąteczne, podczas których odwiedza się rodzinę i bliskich przyjaciół.

Przygotować i zgromadzić zapasy, ułożyć menu — to trud nielada. Przydadzą się tu wszelkie wskazówki z „Życia Praktycznego“, „Doskonałej Kuchni“ i mądre rady mej Szanownej Koleżanki, pani Elżbiety. Odsyłając tedy wszystkie panie do tych fachowych źródeł, chcę tylko zaznaczyć, że świąteczne przygotowania nie mogą się ograniczyć do zgromadzania zapasów i zdobywania umiejętności ich zarządzania.

Aczkolwiek „dobrze jeść“ jest uważane znów za jedną z przyjemności życiowych, a umiejętność zarządzania smakołyków za sztukę — to jednak je-

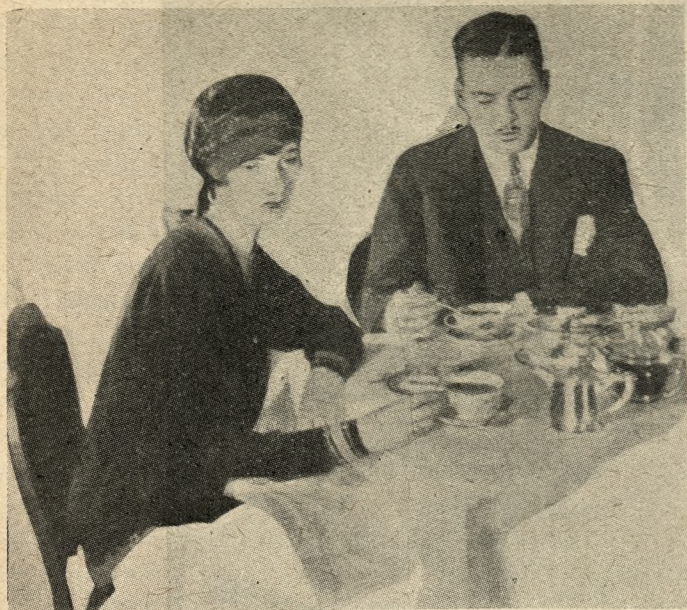
szcze nie wszystko. Pani musi zawczasu pomyśleć o wielu innych rzeczach. Nadewszystko o tem, by do normalnego ładu i porządku wnieść trochę piętna świątecznego.

Umiejętnie porozmieszczane gałązki choiny i świerków, jemiola i ostrokrzew nadadzą wnętrzu od razu pożądaną wyraz. Potem przyjdzie kolej na dekorację stołu wigilijnego. Naszym tradycyjnym zwyczajem stół pokryjemy cieniutką warstwą siana, damy piękny, najlepszy obrus. A potem...

Potem, to już zależy od osobistego gustu, od zmysłu estetycznego i dekoracyjnego talentu. Zacząć trzeba, oczywiście, od środka stołu. Damy świeże kwiaty, o ile są. W braku ich — owoce, zręcznie ustrojone w gałązki jedliny, przesłonięte srebrnymi niciami lub śniegiem. Ale najlepiej, najwłaściwiej jest iść w tym względzie za zwyczajem Zachodu, jako niezmiernie ładnym, i dekorować stół wyłącznie świąteczną zielenią.

W Ameryce np. ubiera się środek stołu świerczyną, ułożoną w gwiazdę, wśród której płoną podstawiane świeczki. Czasem świerki połączone są z ostrokrzewem, lub przybrane głoziem i ułożone w kształcie wieńca. Sposobów jest mnóstwo, a osobista inwencja i gust potrafią dużo.

Wykorzystać świerk i sośninę za motyw dekoracyjny do naszego stołu jest ze wszech miar wskazane. Bo dostać ich można wszędzie i wydać na to grosze. Nasze stoły należałoby przybierać z zachowa-



Zapanuje nuda, jeśli nie będziemy mieli sobie nic do powiedzenia przy jedzeniu.

niem narodowego charakteru. Stare mosiężne świeczniki, wstążki ludowe, kłosa zboża.

Uporawszy się z „centralą” naszego stołu, ustawimy najlepszą porcelanę, szkło, srebro i zastawę. Hasłem nie może być „dużo i smacznie”, ale: „ładnie i uroczyście”. Do tak przystrojonego stołu muszą zasiąść osoby, odpowiednio dobrane. A nade wszystko w odpowiednim, zharmonizowanym nastroju. To już zależy będzie wyłącznie od pani domu. Jej zdolności towarzyskie, wartość intelektu i umiejętne ugrupowanie współbiedników będą miały decydujące znaczenie dla nastroju wigilijnej, spędzonej chociażby wyłącznie w gronie rodziny.

Takt pani domu, umiejętność doboru towarzystwa, rozmieszczenie gości, estetyka nakrycia i podania — będą miały jeszcze większą wartość podczas obiadów i kolacyj, które urządzać musimy w okresie Świąt, Sylwestra i w rozgwarze karnawałowym.

Przyjęcia takie ogromnie są rozpowszechnione na Zachodzie. Na proszonych śniadaniach i kolacjach omawiane bywają sprawy dyplomatyczne i polityczne. Poza posiedzeniami, nieraz przy stole biesiadnym, zdecydowane bywają sprawy o wielkim znaczeniu państwowym. Sławne było sam na sam Briand’a ze Stressemann’em w małej oberży szwajcarskiej.

Przyjęcia u zwykłych śmiertelników uważane są słusznie na Zachodzie za jedną z najmilszych intelektualnych rozrywek dla ludzi dorosłych. Tam wartość kulturalna współbiedników jest bardzo starannie brana pod uwagę przy układaniu listy zaproszonych. Zwłaszcza w Ameryce, gdzie zakazy prohibicyjne w sferach towarzyskich są bardzo surowo przestrzegane, brak lekkiej podniety, jaką daje bezwątplenie alkohol, musi zastąpić intelektualne zhar-

monizowanie gości i piękno nakrycia (choćby to, co podają, było dla nas, Europejczyków, wprost niejadalne!).

Obowiązkiem pani domu jest pozostać z gośćmi podczas przyjęcia i być im wyłącznie oddaną. Jak złego ognia, musi się pani wystrzegać zbytniego biegania, krzątania się i zamętu w obecności domowników lub gości. Wszystko powinna zawnoczu obmyślić i przygotować, ażeby z chwilą rozpoczęcia biesiady pozostać przy stole i zręcznie ująć w ręce ster rozmowy.

Tematy polityczne muszą być wykluczone, wobec rozbieżności zdań, nawet w najbliższej rodzinie. To samo dotyczy religii. Sprawy finansowe i podatkowe odrzucamy, naturalnie, na chwilę tak uroczystą, chociażbyśmy mieli naśladować przysłowiowego strusia, kryjącego głowę w piasek w chwili niebezpieczeństwa. Czasem, dla odpoczynku, należy przecie żyć złudzeniem!

Teatr i literatura, podróże i wrażenia, trochę niezłośliwych ploteczek, trochę dowcipu. Miło jest posłuchać przy stole muzyki, nie zawiele jednak, gdyż zbyt dobra upaja, zła — drażni, przeszkadzając rozmowie.

Pomiędzy paplaniną, gadulstwem i rozmową leży cała przepaść. Bo umiejętność rozmowy jest sztuką nielada. Nie każdy ma dar konkretnego wypowiadania myśli w formie jasnej i interesującej. Przy stole biesiadnym najłatwiej można ten dar ujawnić. Przebywając, bowiem, dłuższy czas w bliskim sąsiedztwie dwóch osób, mamy możliwość wykazania wartości własnego intelektu. Jest to absolutnie niemożliwe



Wymarzone sam na sam utrwali w pamięci umiejętnie prowadzona rozmowa.



Na środek stołu damy bukiet świeżych kwiatów.

na różnych five'ach, gdzie się stoi, lub co chwila wstaje, witając się i przedstawiając.

Oprócz umiejętności rozmawiania na przyjęciach, że tak powiem, „jadalnych“, trzeba mieć jeszcze umiejętność słuchania. Słuchać jest czasem o wiele trudniej, aniżeli mówić. Wniknąć wtedy trzeba w bieg myśli mówiącego, szybko się orjentować, umieć odpowiedzieć, coś dodać, zaoponować, czemś się zachwycić.

Niema nic bardziej przykrego dla kogoś, zaczynającego rozmowę, jak lakoniczne „tak“ lub „nie“ — ze strony interlokutora. Tępy wyraz słuchacza, malująca się na twarzy obojętność i niezmierna dalekość — zniechęć są w stanie najlepszego mówcę. A wiemy aż nadto dobrze, jak cennym nabytkiem w życiu towarzyskim jest „un bon causeur“. Przecież nie zawsze na zebraniach ma się ochotę ploteczkować, tańczyć, lub grać w bridge'a.

Najczęściej ludzie nie mówią, lub nie słuchają przez lenistwo myśli. Wymarzone sam na sam stanie się wścieklą nudą, jeśli osoby zainteresowane nie bę-

dą miały sobie przy jedzeniu nie do powiedzenia. I wtedy mile śniadanie lub obiad będzie jedynie... odżywianiem. Przeciwnie — toż wymarzone sam na sam utrwali się w pamięci, jeśli towarzyszyć mu będzie miła, umiejętnie poprowadzona rozmowa.

Kobieta, bardziej subtelna i wrażliwa, powinna zawsze brać inicjatywę rozmowy w swoje ręce. Ale, na miłość Boską! niech się uczy, niech pogłębia kulturę, niech rozwija intelekt stale, ażeby to, co mówi, było istotnie rozmową, a nie gadulstwem, lub pustą paplaniną.

Dla naszego życia towarzyskiego zebrania prozane przy stole powinny mieć duże znaczenie. Odciągają od knajpy lub kawiarni, a zbierając dobraną grupę osób w jednym domu, zbliżają je ku sobie. Łatwiejsza staje się wtedy wymiana myśli, rozmowa i słuchanie.

I jeszcze jedno. Takie zebrania uczą wzajemnej uprzejmości, o którą, niestety, tak jeszcze trudno, nie tylko u nas. A przecie jest ona istotnym wyrazem prawdziwej, pogłębionej kultury. *Joanna Szopska.*

L A L K I

W pachnącej świerczyną erze Świąt Bożego Narodzenia słowo „lalka“ jest symbolem dziecięcej radości i śmiechu. Dzisiaj jednak pozwolę sobie na pewne odchylenie i, mówiąc o lalkach, pominię roześmianą dzieciarnię, obierając sobie za audytorjum nie świątynię uciech młodocianych — dziecięcą komnatkę — a pełne poetycznego półmroku buduary i sy-pialnie.

Lalka, która króluje w ścianach kobiecego pokoju, narodziła się, gdy echo śmiertelnych pocisków

wstrząsało jeszcze przesiąklą krwią ziemię. Była to „Lalka pani Paderewskiej“, z gałganków po mistrzowsku zrobiona i sprzedawana, na cele, związane z niesieniem pomocy licznym rzeszom, wojną wyczerpanym.

Od chwili poczęcia lalka artystyczna przeszła poważną ewolucję. Ukazywała i ukazuje się po dziś dzień, przyjmując kształty czysto artystyczne, groteskowe, karykaturalne, pod żadną jednak z tych wielu postaci nie przestaje być cackiem, wyróżnianem

przez dzisiejszą przysłowiową Piękną Panią! Wśród tych, dla których moda i kaprys są prawem, spotykamy niejednokrotnie entuzjastyczne kolekcjonerki, szcycące się chętnie szeregiem lalek o najróżnorodniejszym typie, wielkości i wyrazie. Jest jednak jeden typ lalki, który przetrwał wszystkie odchylenia i wstrząsy, zwyciężył żądzę nowości i powstaje ciągle, z roku na rok do życia, niczem feniks z popiołów.

Miłośniczki lalek domyślą się łatwo, że mowa tutaj o pajacu. Pajac to daleki od typu tego, który bawi nas, wywracając koziolki i strojąc pocieszne sztuczki na arenie cyrkowej. Ten, który patrzy smętnie w dal, wtulony pięściwą niewieścią dłonią w puszystą miękkość buduarowych poduszek, przedstawia sobą najdoskonalszy typ francuskiego Pierrota. Twarzyczka o klasycznych rysach, nosząca stygmat zrezygnowanego cierpienia, oczy, mgłą smutku zasłute, bolesny uśmiech, smukłe kształty, ujęte w ramę kosztownego jedwabiu. Na główce charakterystyczna cza-

peczka z czarnego jedwabiu, poza, pełna niedbałego wdzięku. Pierrot zdaje się być milczącym sojusznikiem i najwierniejszym, wiecznie jednak oddanym, powiernikiem Pięknej Pani. Przeciwstawia się jej kapryśnemu usposobieniu spokojem, z jakim przyjmuje łzy i uśmiechy, działa tajemniczością swą i milczeniem; zdaje się mówić bez słów, jedynie subtelną mową głębokich źrenic, o znikomości wszelkich radości i wszelkich smutków życiowych. Jest filozofem, który niezmiennym uśmiechem wita burzę rozdrażnienia, radosny szal, złośliwość, zniecierpliwienie, nagły przypływ altruizmu, chęć zatopienia własnych trosk i własnych serdecznych zawodów we krwi, która sączy się z rozmyślnie zranionego w przystępie rozdrażnienia, cudzego serca.

Wszystko to, co ludzie zwykli sądzić i potępiać, czem zwykli upajać się i zachwycać — nie dociera do psychiki Pierrota. Na subtelnej, woskowej masce gości niezmienny uśmiech, pełen pobłażania.



Colombina i Pierrot.

Na wzburzone nerwy Pani działa on, niczem haszysz upojny, kołysze do snu wszystkie jej troski, rozgoryczenia i żale. Nawet wtedy, kiedy w tkliwym nad samą sobą rozżaleniu usta jej szepcą żalostnie ku tajemniczemu przyjacielowi jakieś chaotyczne skargi, wierzy niezłomnie, że on jeden, on tylko do głębi odczuć i zrozumieć ją potrafi.

Przyjaźń Pani z Pierrotem — to najpiękniejszy kwiat dobrego porozumienia. Nie trudno bowiem na wiecznie milczących ustach i w oczach, osłoniętych ciężką powieką, doszukać się słów i uczuć jedynych, jakie w danej chwili mają moc pocieszenia. Można zwierzyć mu wszystkie tajemnice bez lęku, że niedyskretne usta rozniosą je po świecie; można przytulić go do zmętej zmęczeniem i bezsennej nocą postarzałej twa-



Ulubieniec Pięknej Pani.

rzyczki, ująć w niewymanicurowane paluszki, pokazać mu się bez maski o każdej dnia godzinie; można z nim, z nim jedynym, być sobą i tylko sobą.

I patrząc na Pierrota oczami entuzjastycznej wielbicielki, zdawaćby się mogło, że zstępuje on w ściany pokoju Pani wprost z litościwych niebios, które chcą jej przecież czemś zapłacić za gorzkie zyciową. Trudno uwierzyć, że potrzeba zaledwie skrawka wstążki, krezy z czarnego tiulu, woskowej główki, trocin i kawałek gałganika, z którego modelujemy kształt tego smętnego bohatera. Cud, ten cud, który przekształca go w nieziemską istotę, polega na umiejętności przepojenia go własnym marzeniem i wiarą w przedziwne posłannictwo, którego urok jest nie z tego świata.

Wanda Dobrzańska.

LEGENDA A RZECZYWISTOŚĆ

(W odpowiedzi Pani T. Z.)

Przed kilku dniami otrzymałam ciekawe zapytanie od „niedoświadczonej matki”, która, nie mogąc pogodzić się z mężem w kwestji utrzymania dzieci w ich nadprzyrodzonych złudzeniach, co do Bożego Narodzenia, szuka u nas rozwiązania sporu.

Jak słusznie pani T. Z. utrzymuje, kwestja ta, jako czynnik wychowawczy, jest pierwszej wagi, postanowiłam więc pomówić o niej obszerniej, stając śmiało po stronie pani Z., wbrew zdaniu jej męża. Kto widział radość drobnej rzeszy przy zbliżającej się Gwiazdce, kto był świadkiem wzruszenia, z jakim wyczekuje wielkiego wydarzenia, kto słyszał szepty, widział tajemnicze spojrzenia i uśmiechy, za-

mieniane porozumiewawczo między sobą — zrozumie łatwo, jak wielkie znaczenie przywiązują dzieci do tych wydarzeń. Tradycyjny Święty Mikołaj — wbrew zwyczajom innych krajów łączony u nas dotąd z wigilią Bożego Narodzenia — oczekiwany jest z namaszczeniem i niecierpliwością, a jego szkarłatny płaszcz, zasypany złocistymi gwiazdami, długa, siwa broda, nadewszystko zaś kosz, przepełniony zabawkami na plecach, są przedmiotem nieustannych rozmów i marzeń.

Przy współudziale rodziców i starszego rodzeństwa ta poetyczna legenda przechodzi z pokolenia w pokolenie, niema bowiem jednej dorosłej osoby,

kóraby miała odwagę zedrzyć te złudzenia i bez rozczerzenia patrzeć na wzruszenie maleństw, nieposiadających się z radości na widok cudów, przyniesionych przez św. Mikołaja. Z biegiem czasu, z konieczności zaniknie ta naiwna wiara, a skoro dziecko zdolne będzie zastanawiać się i odbierać realne wrażenia, nie bez rozczerowania odkryje prawdę, co do św. Mikołaja, a choć radość z otrzymanych upominków zawsze będzie wielka, poznamy w jego głosie i po jego mince żal za straconymi złudzeniami.

Dzieci lubują się w nadprzyrodzonych opowieściach, z wielką łatwością i swobodą przyswajają sobie czarodziejskie baśnie, a kto zwraca baczną uwagę na ich zabawy, wie, jak przez wyobraźnię umieją nadać życie, inteligencję, mowę byle jakim martwym przedmiotom. Często, umyśliwszy zabawę na „niby“, rozmawiają z niewidzialnymi osobami, żyjącymi w ich imaginacji i tylko dla nich.

Wychowawcy o ciasnym horyzoncie utrzymują, że tę skłonność do nadprzyrodzonego trzeba w dziecku tępić niemiłosiernie, bo jest ona groźną dla jego umysłowości. Mylą się zasadniczo: wszak dążność ta jest pierwszym przejawem budzącej się wyobraźni! Dziecko, które nie umie jeszcze trzeźwo myśleć, nie ma doświadczenia, nie może zużytkować swoich zdolności twórczych inaczej, jak na stwarzanie rzeczy nadprzyrodzonych. Powoli, pod wpływem



Św. Mikołaj przyniósł upragnione lalki.

rzeczywistości i rozumnego kierunku, zamki na lodzie, budowane przez świeży a bogaty umysł dziecka, rozpadną się w gruzy; nie trzeba obawiać się ich wpływu na rozwój umysłowy dziecka: życie nie pozwoli trwać złudzeniom.

Zwalczając te niewinne dążenia, zabijając wyobraźnię, wielką krzywdę czynimy dzieciom naszym. Jest to strata niepowetowana, gdyż ta cenna własność nie tylko nie przeszkadza, ale pomaga im do rozwoju i z czasem stanowić będzie o twórczych zdolnościach. Wyobraźnia musi być jednak skierowana na właściwą drogę, zrównoważona mądrymi radami, tak, aby się nie spaczyła, i, zamiast zostać cennym źródłem zdolności dzielnego człowieka, nie zrobiła z niego chorego dziwaka. Wyobraźnię trzeba szkolić, a nie tłumić.

Istoty, pozbawione wyobraźni, nie mają połotu, ani ideału, są przyziemne i nudne. Zalety ich są ciężkie, praktyczne do niemożliwości.

Wyobraźnia popycha umysł na nowe tory, otwiera nam nowe horyzonty, rozwiązuje napozór nierozwiązalne zagadnienia.

Jak bardzo cennych władz zostaną pozbawione nasze dzieci, jeżeli od najmłodszych lat zabijają będziemy w nich wyobraźnię! Jak wiele stracą radości i przyjemności życia, jak wiele uroku i wdzięku! Jak pustem i czerem będzie ich życie, jeżeli każemy im zaczynać je od tego, na czym tak smutno jest kończyć, to jest — od utraty złudzeń!

To też mogę tylko jaknajusilniej zachęcać Panią T. Z. do utrzymania się przy swoim zdaniu, do pielęgnowania w jak najdłuższe lata tradycji i poetycznej legendy, otaczającej zwyczaj obdarowywania dzieci w to święto dzieci. Jest to zresztą znakomity czynnik wychowawczy. Starsze dzieci, pozbawione już złudzeń, co do istoty św. Mikołaja, niech zajmą się przygotowaniem niespodzianek, które przyniosą tyle radości młodszemu rodzeństwu. Zachwyt obdarowanych będzie sowitą nagrodą za trudy i pracę i nauczy ich myśleć o drugich. J. S.



Zdumienie i radość ogarniają na widok tylu cudów.

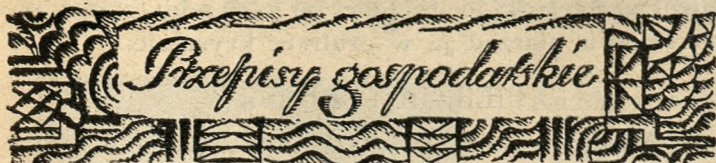
DWANAŚCIE WILIJ

Od najskromniejszych do wystawnych z uwzględnieniem ryb morskich, przeważnie znacznie tańszych od ryb rzecznych i jeziorowych.

1. Kwasek grzybowy z krajanami kluseczkami.
Świeże śledzie smażone, kartofle tłuczone.
Kapusta duszona na oleju z grzybami.
Kompot z suszonych jabłek i śliwek.
2. Barszczyk czysty, czerwony, kartofle z cebulką,
przysmażoną na oleju.
Dorsz faszerowany na sposób szczupaka, chrzan
z octem.
Pierogi ze słodkiej kapusty, sos grzybowy.
Kluski z makiem i miodem.
3. Zupa rybna, zabelana, z kartoflami.
Kotlety śledziowe, kapusta czerwona.
Karp lub leszcz z szarym sosem.
Kisielek żórawinowy z sytą miodową.
4. Barszczyk czerwony z uszkami grzybowymi.
Kotlety z dorsza, sos pomidorowy.
Kapusta biała z rumianem masłem.
Sandacz smażony z cytryną.
Lamańce z makiem.
5. Zupa rybna, zabelana, z kluseczkami.
Szczupak faszerowany, sos chrzanowy, kartofle.
Sielawy smażone, kapusta kwaszona.
Kluski z makiem.
Galareta cytrynowa.
6. Zupa migdałowa z ryżem.
Karp w galarecie, sos musztardowy.
Gołąbki z grzybami.
Flondry smażone, cytryna.
Kompot z suszonych moreli.
7. Pasztet z piklingów na zimno.
Rosół czysty rybny z pulpetami.
Karp na szaro — po polsku.
Sielawy smażone z cytryną.
Brukselka z grzankami.
Krem makowy z makaronikami.
8. Śledzie królewskie, sos majonezowy.
Buljon grzybowy, uszka pieczone w kruchem
cieście.
Szczupak po żydowsku, w dzwonach.
Sandacz pieczony „au gratin”.
Włoska kapusta, zapieczona pod beszamelem.
Krucze ciastka z makiem.
9. Węgorz wędzony, masło w kulkach, grzanki ze
zrumienionej bułeczki.
Polewka winna z sago.
Budyń z ryby z sosem kaparowym.
Macédoine z jarzyn we francuskim cieście.
Karp smażony, masło sardelowe.
Owoce z konserwy w galarecie.
10. Tartynki z masłem sardelowym, muszelki z ja-
rzyn mieszanych w sosie majonezowym,
łosoś wędzony.
Barszcz czysty czerwony, uszka grzybowe pie-
czone, we francuskim cieście.
Łosoś z wody, sos „béarnaise”, kartofelki dra-
żone.
Budyń z kapusty z rumianem masłem.
Szczupak „prałatowski” duszony z jarzynami.
Sielawy augustowskie smażone, cytryna.
Krucze ciastka z makiem.
Kompot z gruszek z Weck’a.
11. Śledzie marynowane w oliwie, sałata z selerów,
pierzynki grzybowe z rumianem masłem,
podane w muszelkach.
Zupa rybna: czysty rosół z mięta, paszteciki
we francuskim cieście, nadzienie z wą-
tróbki mięta.
„Timbale” z ryby, z pieczarkowym sosem (użyć
na ten budyń mięta, ugotowane w ro-
sole).
Karp z szarym sosem — po polsku.
„Orly” z sandacza, sałata z cykorji „Whitloof”
z oliwą i cytryną.
Groszek zielony z puszek, masło w kulkach.
Kisielek czekoladowy, mleko migdałowe.
Kutja z pszenicy z makiem i miodem.
12. Buljon grzybowy z uszkami.
Zupa migdałowa z ryżem.
Sig pomorski w majonezie.
Szczupak nadziewany pieczony, sos chrzanowy.
Pasztet z kapusty w kruchem cieście.
Krem makowy, biszkopciki.
Kompot z wisien, polanych cherry-brandy.

Pani Elżbieta.





SZCZUPAK POSTNY.

Dużego szczupaka oczyścić, jak zwykle, pokrajać na dzwona. Z każdego dzwona wyjąć środkową ość. Cieńsze kawałki od ogona usiekać, dodać bułki, wymoczonej w wodzie, dużo cebuli utartej, soli i pieprzu do smaku, łyżkę oliwy. Farsz ten doskonale wyrobić i nadziać niem każde dzwono. Ułożyć dzwona na brytfannie, zalać zimnym smakiem, ugotowanym z włoszczyzny i cebuli z listkiem i pieprzem w ziarnach. Wlać szklankę białego wina, tyleż lekkiego octu, tyleż oliwy, dodać cytrynę, pokrajaną w talarki (bez skórki), trochę otartej cytrynowej skórki. Zagotować mocno, poczem dusić wolno na brzegu blachy, aż ryba dojdzie. Wyjąć ją na półmisek i trzymać w cieple. Do sosu włożyć dwa jabłka, pokrajane w talarki, szklankę chleba utartego, parę łyżek cukru. Zagotować, przetrzeć przez sito, włożyć garść rodzynków, jeszcze raz zagotować i polać tem rybę, ułożoną na półmisku. Wyborny sposób podawania ryby na szaro, w okolicy, gdzie brak karpi i leszczy.

FILETY Z SANDACZA LUB SZCZUPAKA

Oczyszczoną, jak zwykle, rybę usiekać, lub przepuścić przez maszynkę. Na kilo takiej ryby, dodać dwa białka, łyżkę masła, odrobinę białego pieprzu, lub gałki muszkatołowej i tłuc w młynku tak długo, aż się zrobi jednolita masa. Brytfankę wysmarować grubo masłem, na to układać małe, zgrabne kotleki, uformowane z rybnej masy, osolić je po wierzchu, pokryć papierem, nasmarowanym masłem (tłustą stroną do fileatów), przykryć drugą brytfanką i wstawić na dziesięć minut w bardzo gorący piec. Wyłożyć ostrożnie na półmisek, obłożyć ćwiartkami cytryny, ubrać półmisek sałatką lub jarmużem. Oddzielnie podać sos rumiany z kaparami, lub czysty sos pomidorowy.

ZAMIAST BAKALIJ

Ceny fig, daktyli, rodzynków małagi i innych wytworniejszych bakalijs są tak zawrotnie wysokie, że obowiązkiem każdej oszczędnej gospodyni jest zastąpić je równie smaczniemi, a nierównie tańszemi przysmakami, przyrządzonemi w domu. Kilka łatwych przepisów na nie tutaj podaje.

WIANUSZKI MIGDAŁOWE.

Czterdzieści deka słodkich migdałów oparzyć, obrać ze skórki, opłókać w zimnej wodzie, rozsypać

na płótnie, doskonale obetrzeć, wkońcu osuszyć w piecyku. Kto lubi, może je nawet lekko zrumienić. Rozdzielić każdy migdał na dwoje i jeszcze te płaskie połówki poszatkować jaknajcieńiej. Czterdzieści deka cukru-pudru ucierać w misce z czterema białkami i sokiem z całej cytryny. Gdy masa dobrze się utrze i zgęstnieje, wsypać migdały. Na blachach, podsypanych mąką, mieć przygotowane duże opłatki. Układać na nich małe, zgrabne wianuszki. Postawić w cieple (naprzykład na wysokiej półce w kuchni), aby dobrze powierzchu obeschły. Następnie wstawić do zaledwie ciepłego pieca, żeby, piekąc się, uschły zupełnie. Zdjąć z blachy, obciąć wkoło i we środku zbiteczny opłatek. Przechowywać w szklanym słoju, szczelnie zawiązanym pergaminem, lub w blaszanej puszcze.

CUKIERKI ŚMIETANKOWE.

Pół kilo cukru z głowy lub pudru (w żadnym razie — kryształ) i dwie szklanki niezbyt gęstej słodkiej śmietanki gotować wolno na zakrytej blasze, wciąż mierzając drewnianą łopatką, aby się nie przypaliło. Włożyć kawałtoko wanilji dla zapachu. Gdy masa zacznie gęstnieć, próbować, puszczać kroplę na zimny talerz: jeśli nie rozlewa się, a twardnieje od razu — gotowe. Wylać na półmisek lub blat marmurowy, wysmarowany oliwą. Gdy nawpół zastygnie, krajać w podłużne paski. Zupełnie wystygłe zawiązać w papierki, ładnie po bokach ukarbowane.

ŚLIWKI NADZIEWANE.

Śliwki suszone wymoczyć przez godzin parę. Odcedzić na durszlaku, osuszyć starannie płótnem lub bibułą. Przeciąć każdą z boku, wyjąć ostrożnie pestkę. Na kilo śliwek przyrządzić nadzienie następujące. Dwadzieścia deka słodkich migdałów, sparzonych i oczyszczonych z łupin, przepuścić przez maszynkę. Dodać skórkę smażoną z jednej, dużej pomarańczy, drobniośko pokrajaną. Tłuc to razem w młynku z dwudziestoma deka cukru-pudru, aż się zrobi gładka masa. Z masy tej, formować walczki kształtu dużego migdała. Wkładać je w śliwki, nadać im ładny kształt, układać na blasze, pokrytej woskowanym papierem lub pergaminem. Posypać pudrem cukrowym i wstawić na noc do letniego pieca, aby podeschły i nabrały połysku. Ułożyć do skrzynki blaszanej, mocno je uciskając.

Stara piosnka.

Stachowi pierścien przymiozłam z jarmarku,
Oraz prześlicznych róż wianek,
Tobie — „HEZANE” żAKA w podarku,
Bo Jaśku Tyś mój kochanek.

Czy wiesz, że..

*Nic Ci nie pomoże nowy strój balowy,
Ani też misterna ondulacja głowy,
Jeśli nie użyjesz — strojąc się na bal —
Cudnych perfum ŻAKA „LILAS IMPERIAL“...* 203

MAKOWNIKI („MAKAGIGI“).

Szklankę cukru i szklankę miodu zasmażyć razem, aby się zrumieniły. Dwie szklanki maku, ususzonego przez noc w letnim piecu, wsypać na ten karmel. Smażyć wolno, miészając drewnianą łyżką lub łopatką, próbować, puszczając kroplę na zimny talerz. Gdy się nie rozlewa — gotowe. Wyłożyć bardzo prędko na opłatek, położony na posypanej mąką stolnicy, przykryć drugim opłatkiem, przewałkować prędko wałkiem od ciasta, aby się masa równo rozłożyła. Gdy nieco przestygnie, krajać ostrym nożem na zgrabne czworokąci; gdy zupełnie ostygną, stwardnieją tak, że nie dadzą się krajać. Przechowywać w suchym miejscu.

MARMELADKI DOMOWE.

Czterdzieści deka jabłek (renet lub antonówek) udusić pod pokrywą z dwiema łyżkami wody, aby się nie przypaliły. Przetrzeć przez sito, dodać dwie szklanki cukru i pół szklanki soku wiśniowego lub malinowego — dla koloru. Oddzielnie rozgotować dwa deka „agaru“ — japońskiego kleju roślinnego. Pokrajać go drobno i gotować w trzech szklankach wody. Gdy się zupełnie rozpuści, powinno pozostać nie więcej, niż dwie szklanki płynu. Włożyć marmeladę jabłeczną, gotować wolno razem około pięciu minut. Masa powinna być przezroczysta. Można dodać dla zapachu 2 krople olejku cytrynowego lub esencji ananasowej. Wylać na duży półmisek i dać zastygnąć. Nazajutrz pokrajać w zgrabne kawałki i obsuszyć na deseczkach, ustawionych na półkach w kuchni. Chcąc

mieć marmeladki ocukrzzone po wierzchu, zaraz po pokrajaniu utarzać je w grubym kryształce.

PIERNIK TORUŃSKI.

Miodu czystego dwie szklanki zrumienić lekko, odstawić od ognia, wsypać sześć do ośmiu szklanek mąki pszennej, miészając narazie kopystką lub łyżką drewnianą. Potem wyłożyć na stolnicę i gdy nieco ostygnie, wyrabiać i wygniatać rękami, aż ciasto zbieleje. Wsypać dwa deka korzeni: cynamonu, goździków, kardamonu, ziela, wszystko drobno utłuczone i przesiane. Dodać jedno deka potażu i garść żółtej skórki pomarańczowej, drobno pokrajanej. Wybijać ciasto wałkiem przeszło godzinę. Nakoniec rozwałkować na pół palca, ułożyć na blachę, podsypaną mąką. Ubrać powierzchnię obranami migdałami. Wsadzić w piec, napalony, jak na bułki. Gdy się upieką — a powinny bardzo podrosnąć i ładnie się zrumienić — krajać na tabliczki. Polukrować czekoladą, rozpuszczoną po połowie z cukrem-pudrem i łyżką wody. Znów wstawić do pieca, aby obeschły.

CAŁUSKI.

Szklankę miodu, szklankę cukru, cztery do pięciu szklanek mąki (zależnie od jej suchości), trzy duże lub cztery mniejsze jaja, deko korzeni: cynamonu, goździków, ziela i, kto lubi, anyżku, utłuczonych i przesianych zagnieść razem na twarde ciasto, dodając łyżeczkę sody i na koniec noża amonjaku. Trzymać dobę w zakrytej misce, poczem rozwałkować na pół centymetra i wycinać kieliszkiem nieduże pierniczki. Upiec je w piecu dosyć gorącym (jak na bułki). Gorące jeszcze smarować pendzelkiem lukrem czekoladowym i w razie potrzeby jeszcze lukier ten obsuszyć w piecu. Na lukier wziąć 15 deka czekolady i tyleż cukru-pudru, dwie łyżki mleka. Rozpuścić na brzegu blachy, wciąż miészając. Wstawić rondel z lukrem w drugi rondel z gorącą wodą, aby lukier nie zastygł przed czasem

Pani Elżbieta.

Aby zdobyć nagrodę Za najlepiej prowadzone rachunki w konkursie, ogłoszonym w Nr. 43 „Bluszczu“, należy przedewszystkiem nabyć

KSIĄŻKĘ RACHUNKOWĄ KOBIETY POLSKIEJ

w opracowaniu p. Elżbiety

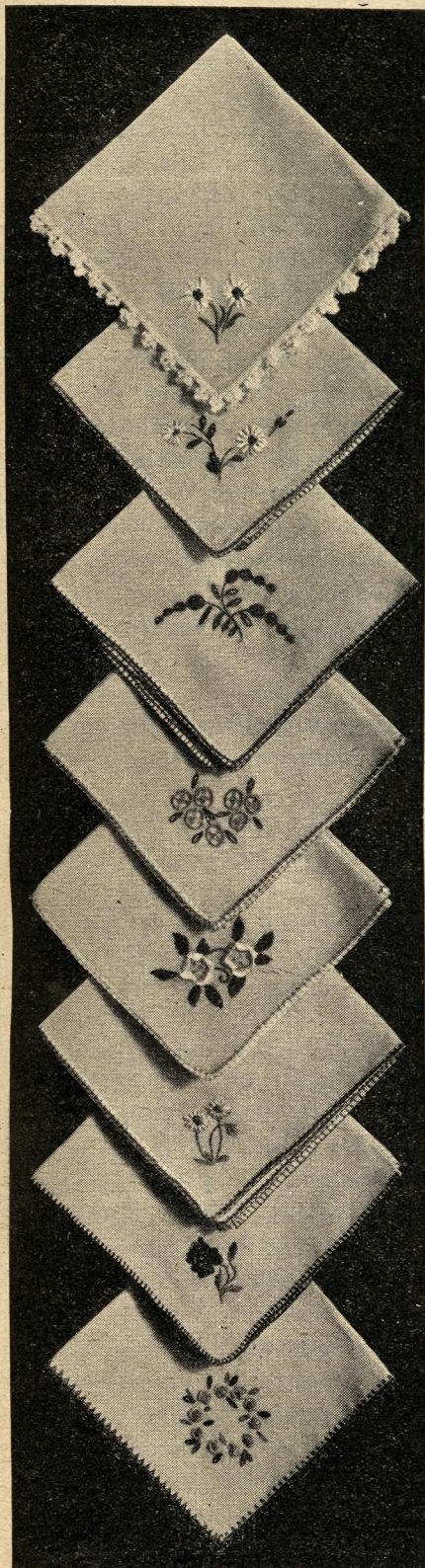
Książka ta, obok dokładnie przemyślanego rozłożenia rubryk wydatków i wpływów, ma jeszcze tę zaletę, że prowadzenie w niej rachunków można zacząć od każdego dnia, nie odkładając tej podstawowej w gospodarstwie czynności do nowego roku. Staranne notowanie wszystkich przechodzących przez nasze ręce pieniędzy pozwala na uregulowanie spraw budżetowych, a tem samem staje się podstawą spokoju i dobrobytu każdego domu.

Cena 4 zł., z przesyłką poczt. 4 zł. 50 gr.

Konto P.K.O. Nr 13.555.

Tow. Wyd. „BLUSZCZ“.

Premje dla naszych Czytelniczek



Chusteczki, które dajemy jako premje

Każda z pań, która do dnia
1-go lutego 1930 r.
**wpłaci wprost do naszej
Administracji
półroczną prenumeratę
„BLUSZCZU“
otrzyma bezpłatną
premję
do wyboru, a mianowicie:**

**1) 6 modnych chusteczek, ozdobio-
nych haftem, każda inna, jedna z nich
zaczęta, do innych dołączone po-
trzebne dodatki.**

Chusteczki wykonane są ze ślicznego
opalu krajowego, wyrobu jednej z naj-
starszych w Polsce fabryk
*Tom. Schlösserowskiej przędzalni bawełny
i tkalni w Ożorkowie, która egzystuje od
1807 r.*

albo

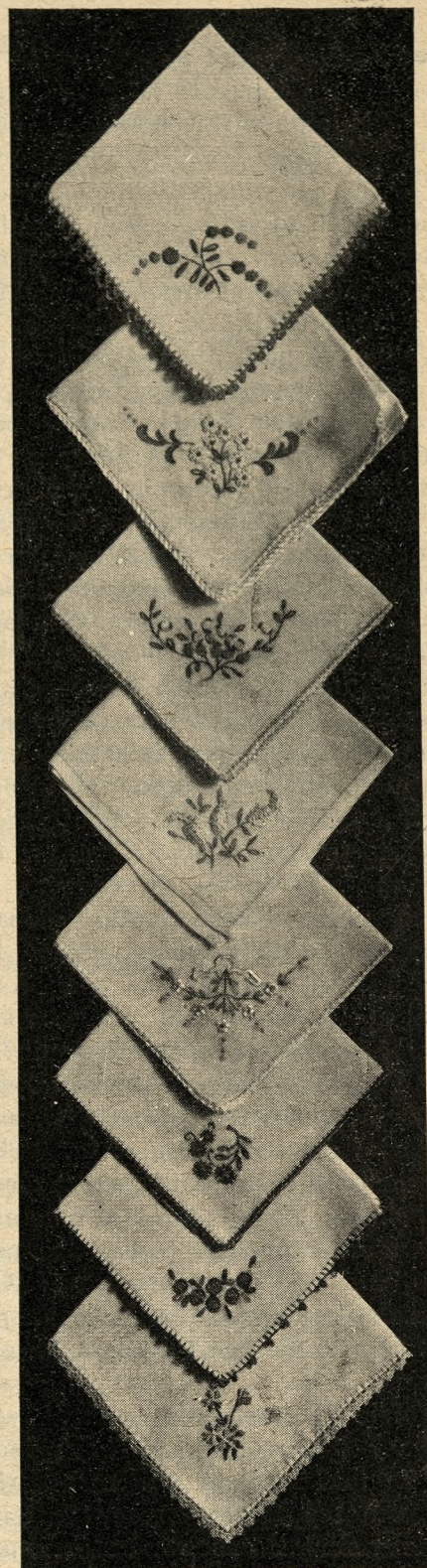
**2) duży flakon doskonałej wody
kolońskiej**

lub

**3) pudełko mydeł toaletowych
znanej ze swych wyrobów firmy
Fr. Puls w Warszawie.**

Niezależnie od tych premij, każda **pięć-
dziesiąta, setna, sto pięćdziesiąta
itd.** prenumeratora z pomiędzy wpłacają-
cych roczną prenumeratę **otrzyma bez-
płatnie** znakomitą książkę kucharską,
zawierającą przeszło 3000 przepisów ku-
chennych i gospodarskich p. t.

„DOSKONAŁA KUCHNIA“



Chusteczki, które dajemy jako premje

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“, Sp. z ogr. odp

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelną) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ“, Rymarska 8, tel. 244-18.

Nasza Mównica

Kiedy się czytać nauczymy?

Nie mam w tej chwili na myśli analfabetyzmu, tej największej klęski każdego kraju, mam jedynie na myśli analfabetyzm ducha, nieumiejętność czytania u całego szeregu osób, nieudolność dobierania pereł literatury. Ponieważ cały numer „Bluszczu” poświęcony został propagandzie książki, ośmielam się odzwierciedlić w tych kilku słowach obrazek czytających pań (nie wszystkich, oczywiście).

W większości wypadków czytająca nie interesuje się tytułem książki i zapytana, w trakcie czytania dopiero spogląda na tytuł, nie zajmując się przy tem nigdy autorem. Największą sympatją cieszą się utwory fantastyczne lub sensacyjne, opowiadania kryminalne, które za tanie grosze nabyć można u przekupnia. Dziwy opowiadać się będzie o takim „dziele” nieznanego autora. Gdy pewnego razu wyrażałam swój zachwyt nad potężnem dziełem Żeromskiego „Przedwiośnie”, które powtórnie studiowałam, spotkałam się z taką odpowiedzią: „O, ja czytam jeszcze ładniejszą książkę, jak to panine „Przedwiośnie”! śliczna książka”. Zainteresowana, pytam o tytuł i że zgrozą dowiaduję się, iż ta pani zachwyca się sensacyjną broszurą p. t. „Od hańby wybawiona”. Serce mi się ścisnęło, miałam przecież do czynienia z matką-polką, osobą z towarzystwa, która czytać nie umiała. Jakąż literaturę będzie zalecała swoim dzieciom, jaką książkę kupi dla nich na Gwiazdkę, jak zdoła wpoić w młode pokolenie zamiłowanie do czytania?

Przykład drugi. Jestem kiedyś w czytelni „Macierzy Szkolnej”, obfitującej w nadzwyczajny dobór dzieł dla każdego umysłu. Wchodzi do czytelni elegancko ubrana pani i zwraca się do bibliotekarki temi słowy: „Proszę panią o romans”. Bibliotekarka zdziwiona, zapytuje, o jaki „romans” chodzi, jaki tytuł i autor? Odpowiedź brzmi: „Chcę romansu, bo się nudzę w domu i dla rozrywki poczytałabym sobie”. Czy to nie jest bolesny fakt, czy to nie analfabetyzm ducha?

Wielkie posłannictwo mają w podobnych wypadkach kierowniczkę czytelni, lecz skąd gwarancja, że taki intelekt podporządkuje się fachowej kierowniczce. Wiele razy zastanawiałam się, czy odniosłoby skutek zbiorowe czytanie najlepszych dzieł: zebrałoby się kilkanaście osób w pewnym lokalu, jedna, posiadająca dar recytatorski, mogłaby czytać dla grona słuchaczy. Wyłoniłaby się może jaka dyskusja. Niestety, projekt był przyjęty z szyderstwem.

Książka jest niemodna, więc nie cieszy się powodzeniem. Co innego cyrk objazdowy. Tam trzeba pójść i ucieszyć oko płytką rozrywką, albo do

wróżbiarza-wydrwigrosza, płacić 5 zł. za bajki, przezeń opowiadane. To należy do dobrego tonu, do rzeczy modnych i wskazanych. A biedna, upośledzona książka leży, pokryta warstwami kurzu, na półce księgarza i czeka zmiłowania. Jak zapobiec temu złu, gdzie leży ratunek? Jak nauczyć ludzi kochać książkę, która jest zwierciadłem duszy kraju? Przez umiłowanie książki wyzbędziemy się sobkostwa, dojrzymy wady naszego społeczeństwa. Przed okiem autora nie się nie skryje, pójdzie on wszędzie, od palacu do chaty, od suterenu na piętra najwyższe i wykaże w swych dziełach wady lub zalety, obyczaje danej dzielnicy, opisze życie górnika i flisaka, wyrobnika i arystokraty. Napisze w swem dziele o Polsce, jaka jest wielka i potężna, wskaże nam drogę do poprawy, do wyzbycia się prywaty i nauczy nas kochać to, co nasze.

Pola Pawłowska, Krasnystaw.

Nie potępiać, ale przeciwdziałać. (W odpowiedzi pani Jadwidze Krawczyńskiej).

Kąt widzenia, jakim Pani mierzy kwestję matek i dzieci nieślubnych, kryje, zdaniem mojem, niebezpieczeństwo.

Upprzedzam jednak odrazu, lękając się ciętej ironji Pani, że na istotę „nieślubności” patrzę normalnie, to jest tak, jak patrzeć winna każda kobieta i matka. Dowodem niech służy wypadek, jaki zdarzył mi się w pierwszym roku wojny, kiedy to moja służąca okazała się właśnie w owej ciężkiej sytuacji. Była u mnie przez cały czas ciąży; ja sama, wówczas młodzianka mężatka, umieściłam ją w szpitalu, a później opiekowałam się nią i dzieckiem (śliczną dziewczuszką) tak długo, jak to było konieczne. Lecz od tego zdrowego, że tak powiem, stosunku kobiety do kobiety, daleko do apoteozowania matki nieślubnej.

O ile uznajemy małżeństwo, jeszcze dzisiaj przynajmniej, za jedyną instytucję, umożliwiającą normalny rozwój i nawet samo istnienie rodziny, społeczeństwa, państwa, to dbać musimy o to, aby właśnie jaknajmniej było związków nielegalnych.

A droga do tego prowadzi nie przez aureolę, jaką otoczmy głowę matki nieślubnej, nie przez uznawanie „bohaterstwa” kobiety, która odważyła się bez zastanowienia pójść „za uczuciem”. Pani sama nazywa ją lekkomyślną, choć bezinteresowną. W tej lekkomyślności widzę właśnie niebezpieczeństwo, które wobec takiego uznania, jakim ową lekkomyślność chce Pani otoczyć, może godzić do prawdy w sam fundament małżeństwa. Starajmy się

tę lekkomyślność w kobietach usunąć. Wątpię, czy Pani z radością przyjąłaby dumne oświadczenie swej córki o popełnionem bohaterstwie. Wierzę, że otoczyłaby ją Pani troskliwą opieką i miłością, lecz pewna jestem, że niejedną noc przemyślałaby Pani i przeplakała.

Największą ilość dzieci nieślubnych daje wieś, ale tam znów rzadko „tragiczne perypetje“ z tego powodu wynikają, gdyż na całą tę sprawę wieś zapatruje się zupełnie spokojnie i 20% gospodyń wiejskich posiada w swej chałupie pierwsze „nieślubne“ dziecko. Znacznie gorzej rzecz się ma w miastach.

Aby wyleczyć choć częściowo społeczeństwo z tej choroby, by macierzyństwa nie dać na poniewierkę i zapobiec tej moralnej zgniliźnie, której wynikiem jest dzieciobójstwo, trzeba szukać innej drogi. I tą jest jedynie wychowanie młodzieży. Zdrowe stosunki, oparte na tle sportu i wspólnej nauki, łączyć winny obie płcie. Uświadamiając nasze dziewczęta, my, matki, musimy nauczyć je panowania nad zmysłami, nie dopuszczając jednocześnie do uświadamiania specyficznego, jakie nabywają one dziś poza domem.

Ale przede wszystkim i ponad wszystko **musimy** dostosować do tego wychowanie naszych synów. **Musimy** nauczyć ich szanować człowieka w kobiecie, musimy wpoić w nich poczucie odpowiedzialności za swe postępowanie, przeświadczenie, że „lekkomyślność“ w danym wypadku kończy się cierpieniem dwóch istot.

Tu wiele może zrobić szkoła. Gdyby profesorem wyższych klas gimnazjalnych zechcieli być rzeczywiście wychowawcami, to nie zostawiliby tej sprawy odłogiem; również na wszelkich kursach młodzieży rzemieślniczej mieszczańskiej, rolniczej, możnaby stworzyć taką atmosferę zaufania między uczącym a słuchaczami, która pozwoliłaby na poruszenie tej drażliwej, a gdzieś w kąt odsuwanej kwestji. Dotąd nie była ona wywlekana na forum, nie obwarowywano jej starannie, gdyż nie godziła przecież w interesy męskie.

Dopiąć musimy tego, aby młodzież męska zrozumiała, że uwieść kobietę, to hańba, że proponować kobiecie alimenty, to ranić i poniewierać w niej człowieczeństwo. Skończyć się muszą czasy, kiedy dziedzic krowy po wsi rozdawał.

Nie, nie godzić musimy się na to, by młodzież żeńska dorównywała w „użyciu“ młodzieży męskiej, lecz przeciwnie: musimy wszystkich sił dołożyć, by otoczyć atmosferą duchowej i fizycznej czystości tak dziewczęta, jak i chłopców naszych. Mówiąc tu o młodzieży żeńskiej, myślę o młodych dziewczętach, często niezdających sobie sprawy z własnego postępowania; nie myślę, rzecz naturalna, o kobietach dojrzałych, które świadomie postępują „bezinteresownie“, biorąc na siebie cały ciężar skutków popełnionego kroku.

Czyż zamiast hołd składać matce nieślubnej (która nieraz kilka razy w życiu „bezinteresownie“ postępuje), nie lepiej pracować, aby ich było jak-

najmniej? Droga to długa, wymagająca wytrwałości.

Tak, „nie łudźmy się, że to zaraz się zrobi“, ale zacznijmy już dziś w tym kierunku pracować, a wtedy naprawdę „zmieniają się krzywdzące paragrafy ustaw“.

L Ch. — Małopolska.

Głos wołającego z pustyni.

Śmiało rzec mogę, że art. pani Prażmowskiej „Głos kobiety do kobiet“ jest głosem tego rodzaju, gdyż zamiast wywołać niemiłkające echa w sercach wszystkich pól, wywołał odzew zaledwie paru. Czyżby tylko te kobiety zdawały sobie sprawę z wielkości zadania i rozumiały, o co chodzi p. Prażmowskiej?

Nie wątpię, że gdyby to było zaproszenie na bal, koncert, kiermasz i t. p., tysiące głosów by się odezwalo, a w pierwszym rzędzie stanęłyby te, które nie zajmują się niczem, nie patrzą w dalszą przyszłość.

Do czynu powinny stanąć młode kobiety i już dzisiaj zacząć budować „Emerytalne Ogniska“, jeżeli nie dla siebie jeszcze, to dla innych, jest to obowiązek moralny. Wielka inicjatywa p. Prażmowskiej powinna być entuzjastycznie przyjęta przez ogół kobiet, bo zakładanie „Ognisk“ będzie miało doniosłe znaczenie.

Należę do rzędu kobiet starszych, dobrze rozumiem przeżycia tych biednych istot, będących „na lasce“ i dzieci, a tem nieszczęśliwszych, o ile są subtelniejsze. Najgorsza dola jest tych, niestarych duchem i umysłem, a znękanych chorobą i osamotnieniem, pozostających ciągle z tem beznadziejnym jutrem, bez żadnych zmian, które się już niczego w życiu nie spodziewają; to właśnie usunie życie towarzyskie i zajęcia różne w „Emerytalnych Ogniskach“.

A więc do czynu, Szanowne Czytelniczki „Bluszczu“! zsolidaryzujmy się, nie uchylając się od pomocy pieniężnej, budujmy „Ogniska“ w całej Rzeczypospolitej Polskiej!

Szanownym Płocczankom, z p. Prażmowską na czele, przesyłam z serca: „Pomagaj Wam Bóg“.

B. M. z Jarosławic.

Na raty, czy za gotówkę (Odpowiedź p. Marji Bardzkiej).

Jestem zwolenniczką kupowania na raty z tego względu, że, mając z mężem niewielką pensję urzędniczą, nie możemy odrazu wydać większej sumy na kupno czy to materiału na sukienkę, garnitur dla męża, czy bielizny. Kupując na raty, oczywiście w firmie, która nie liczy za to drożej, staram się nie przekraczać przewidzianej na takie wydatki sumy w budżecie miesięcznym, t. j. około 10%.

Kupuję stale w jednym sklepie, gdyż wtedy, znając już mój gust, obsługa stara się bardziej mi dogodzić, jest uprzejmiejsza i t. d.

Dobrze obmyślane kupno na raty jest, moim zdaniem, bardzo dogodne i daje możliwość zapobieżenia wczas wszelkim brakom domowego gospodarstwa; lecz biada tym, którzy myślą, kupując na raty, że dostają „darmo“ i nie licząc się wcale ze swoją możliwością płatniczą, kupują wiele, obciążają swój budżet niewspółmiernie do swoich zarobków i nie raz całą prawie swoją pensję oddają za raty.

Kupujemy na raty, lecz po uprzednim sprawdzeniu swoich długów i dochodów; tylko w ten sposób unikniemy przykrych następstw i rozczarowania do „rat“.

Matka Wojtusia z Woli

Czego brak na Pomorzu.

Kiedy mowa o sprawach ekonomicznych, pragnę, by nie zabrakło i głosu z Pomorza, które w sprawach, ostatnio poruszonych w „Mównicy”, bardzo potrzebuje pomocy innych dzielnic.

Nie myślę tu, oczywiście, o wielkim handlu i przemyśle, ale jeśli chodzi o drobne przedmioty codziennego użytku, niestety, zalani jesteśmy towarami niemieckimi.

I tak, z produktów spożywczych brak niemal zupełnie krajowej musztardy, wszelkich buljonów, cykorji, galaretek, wszystkie te rzeczy sprowadzane są z Gdańska i niesposób przełamać w tem upór właścicieli sklepów, a podobno nierzadko i kupujących. Propaganda wyrobów gdańskich jest ogromna, pisma pełne tamtejszych ogłoszeń. Firma Oetker urządza stale pokazy swych wyrobów, czy nie możnaby zorganizować takich samych pokazów fabryki „Luba”, której produkty w niczem przecie nie ustępują niemieckim?

Naczynia kuchenne mamy tu przeważnie niemieckie, dużo również niemieckiej galanterji, dla odmiany spotyka się czasem żydowską. Kilka dni temu w jednym z największych tu tejszych sklepów zaproponowano mi rękawiczki wprawdzie krajowe, ale wytwórni żydowskiej w Warszawie. Oświadczone mi przytem, że Warszawa nie posiada, niestety, ani jednej polskiej fabryki rękawiczek, czy to możliwe?

Ta sama mniej więcej sytuacja jest z materiałami piśmiennymi.

Lepiej znacznie natomiast przedstawia się zaopatrzenie składów aptecznych, które, prócz kosmetyków francuskich i różnych specjalnych preparatów zagranicznych, mają towar polski i reklamują go dobrze.

Wina, mam wrażenie, nie leży po stronie tutejszych sfer handlowych, siłą przyzwyczajenia biorących towar w firmach, które zaopatrywały je przed wojną, nie chcących ryzykować walki z konsumentami, przyzwyczajonymi do wyrobów niemieckich. Mojem zdaniem winni są ci, którzy nie umieją otworzyć sobie na Pomorzu rynków zbytu, nie reklamują się tu, nie dają poznać swych towarów!

Dlatego, jeśli która z Pań czytelniczek „Naszej Mównicy” ma wpływy w sferach przemysłowo-handlowych, niech poruszy wszystkie możliwe sprężyny, by nam zapewnić dopływ polskich wyrobów; będzie to z korzyścią dla Polski, dla wytwórców i dla nas, konsumentów.

M. Wieżyńska — Toruń.

Nasza ankieta gospodarcza

1. Wszystkie zakupy załatwiam sama, jedynie niektóre produkty spożywcze służąca

2. Staram się kupować w jednych i tych samych sklepach. Czasem kieruję się ogłoszeniem, lub poradą znajomych.

3. Perfumy i wyroby kosmetyczno-lecznicze bezwzględnie lepsze są zagraniczne, trykotowe wszelkie również, bielizna damska i męska, drobiazgi i upiększenia. O nietrwałości np. pończoch, kupowanych u nas, wporównaniu z zagranicą, nie można nawet mówić. Może która z Pań poradzi, gdzie można nabywać porządne, ładne i trwałe pończochy jedwabne i welniane. Co do wyrobu rzeczy luksusowych, nie ma u nas żadnej inwencji, zwykły szablon i jednostajność. Nic oryginalnego, nowego i naprawdę estetycznego!

4. Braku nie zauważyłam, tylko niema odpowiednich reklam i wystaw rzeczy nowych i do codziennego użytku, udoskonalonych. Nie zawsze wiadomo, gdzie dane rzeczy można nabyć.

5. Pretensje zgłaszałam, ale spotykam się często z odpowiedzią, że danej rzeczy nie oplaca się sprowadzać, że są trudności, że za duże ryzyko, i t. p.

6. Co do wagi, to przeważnie jest dobra, opakowanie, jak gdzie i czasem; o estetyce nie mówię, bo się u nas o nią nie troszczą i nie uznają. Odsyłać do domów nie lubią, zwłaszcza dalej; obsługa bardzo niegrzeczna i leniwa. Często trzeba długo czekać. Subjekci nie wkładają żadnego zainteresowania w to, co klientka chce kupić, czem jej dogodzić: byle zbyć prędko i byle jak. Nie mogę nawet porównać z uprzejmością i dbałością,

okazywaną w sklepach we Lwowie i Krakowie. Gorliwość ich i szczerą chęć nśłużenia klientowi są czasem aż zawstydzające! Co do udzielania kredytów, to rzadko kiedy spotkałam się z odmową. Kupcy jednak skarżą się na niesumienne wypłaty rat! Sądję, że tę sprawę trzebaby u nas w „Mównicy” przedyskutować i przemyśleć, bo jednak, przy ogólnie skromnych uposażeniach inteligencji, trudno czasem nie kupować na raty, gdyż inaczej nie możnaby wogóle nabyć. Naturalnie musi każdy uszczęśliwiać regularnie, bo inaczej podrywa się zaufanie nie tylko do danej osoby, ale szkodzi się innym.

7. Ogłoszenia czytam więcej z ciekawości, gdyż u nas się często „wpada”. Reklama musi być uczciwa i rzetelna, wtedy ułatwia często kupno i zachęca doń.

8. W „Bluszczu” chciałabym widzieć ogłoszenia o sprzedaży bielizny damskiej, w dobrym guście o przystępnej cenie, o sprzętach domowych, kuchennych i gospodarskich, oraz o wartościowych, nowych książkach.

9.

10. Uważam, że kobiety specjalnie powinny się zająć tempieniem sklepów nieuczciwych, niesumiennych i wyzyskujących. Gdyby każdy sklep taki był na „czarnej liście” „Bluszczu”, może nauczyłoby to niedbałych kupców sumienności i dbałości w zaspokajaniu wymagań kupujących. W naszych bowiem rękach leży reforma kupiectwa i jego powodzenie i reklama. My jesteśmy tym rezerwuarem, przez który przepływają kolosalne sumy, na których się opiera byt całego kupiectwa, bo my przeważnie załatwiamy wszystkie sprawunki. A więc rzucam myśl ankiety: gdzie i u kogo najlepiej w Warszawie kupować, z przeświadczeniem, że nas nie oszukają i nie dadzą lichego towaru.

Halina Lubińska — Warszawa.

1. Mieszkając w kolonji spółdzielczej, na bardzo odległym przedmieściu Warszawy, urządzam się z zakupami w sposób następujący: Wszelkie codzienne artykuły spożywcze przynosi służąca z pobliskiego sklepu na kolonji, „na książeczkę”, z tem, że z początkiem miesiąca daję zgóry znaczniejszą kwotę, uzupełniając ją ku końcowi w razie potrzeby. Mięso kupuję w poblizu służąca, ja sama zaś kawę, herbatę, delikatesy i t. p. „dodatki spożywcze”; pozątem, naturalnie, bieliznę, ubranie i t. d., do bardziej „epokowych” sprawunków (np. meble, jakaś strojnieszka suknia) wzywając pomocy męża. Mąż załatwia swoje osobiste, tualetowo-tytoniowe sprawunki, pozątem różne „lekomyślności”, np. alkohole, słodycze, bilety do teatru, „lekkomyślności”, dość często inspirowane przeżemnie, za które jednak wolę w swem „ciężkomysłnem” usposobieniu gospodyni domu przerzucić odpowiedzialność na niego.

2. Najchętniej kupuję u stałych dostawców (duże firmy), przez znajomych i przez ogłoszenia. Wystawy oglądam dla porównania cen i wyrobieńia sobie zdania o firmie.

3. Krajowe wyroby są, mimo różnych uprzedzeń, przeważnie doskonałe, ale trzeba ich nieraz specjalnie żądać, kupcy zawsze podają i zachwalają towar zagraniczny. Przyznaję, że nie widziałam, prócz prawdziwych, szalenie drogie, pończoch jedwabnych krajowych. W 90 proc. kupuję wyroby krajowe.

4. Stwierdzam dla ścisłości, że w Warszawie nie można znaleźć soczewicy, maki kukurydzowej i trudno o kminek w porcjach innych, niż apteczne.

5. Nie znoszę (bardzo nierozsądnie) reklamacji i niemiłych wymian słów. Obserwuję często, jak arogancka, niesprawiedliwa i nieprzyjemna bywa kupująca publiczność, to może mnie tak nastraja. Staram się nie kupować, bez dokładnego obejrzenia, nie zabierać dużo czasu innym; o ile post factum zauważę jakąś niesolidność, więcej do tej firmy nie pójde.

6. Wszystkie przyzwoite firmy opakowują pierwszorzędnie. Co do grzeczności i uprzejmości, to różnie bywa. Z kredytu nie korzystam. Niesłychaną nowością dla mnie jest, że wszędzie można i trzeba się targować. Tego nie umiem, nie znoszę, to też warszawianki twierdzą, że zawsze przeplacam. Nawet w najpierwszorzędniejszych firmach ceny obliczone są na „opuszczenie” dla doświadczonych i wytrwałych.

7. Ogłoszeniami w pismach kieruję się rzadko (wypreżdaże, specjalne okoliczności).

Inż. J. Dobrucka-Roniewiczowa — Warszawa.